WTOREK Nr 43 85-04-09 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Groźna zabawka - NADMUCHANE „UFO"

(PAP). W ostatnich miesiącach na całym terytorium RFN obserwowano niezidentyfikowane obiekty latające (UFO). Widzieli je zarówno piloci samolotów, jak i znajdujący się na ziemi ludzie. Do komisariatów policji, punktów kontroli lotów na lotniskach i obserwatoriów napłynęło mnóstwo informacji o „maleńkich statkach kosmicznych", które świeciły na nocnym niebie. Dane o rzekomych przybyszach z kosmosu dokładnie przeanalizowali specjaliści. Doszli oni do wniosku, że kosmiczne zagadki mają całkowicie ziemskie- pochodzenie;

Chodzi po prostu o balony-zabawki, produkowane przez kilka firm. Mogą one wznosić się na wysokość do 10 tys. metrów. Ich średnica wynosi od 60 do 70 cm, dlatego nie są zarejestrowane przez pokładowe radary samolotów, ani też radary lotnisk. Jako „siłę wznoszącą" wykorzystuje się gorące powietrze, które podgrzewane jest bądź miniaturową grzałką, bądź przez promienie słoneczne. Balony „słoneczne" wykonuje się z czarnych materiałów syntetycznych doskonale pochłaniających ciepło.

Specjalny urząd bezpieczeństwa lotów kategorycznie zabronił puszczania balonów w odległości mniejszej niż 10 kilometrów od lotnisk, ostrzegając, że osoby naruszające ten przepis karane będą wysokimi grzywnami. Zdaniem specjalistów, balony nie tylko denerwują pilotów, lecz również stwarzają niemałe zagrożenie dla samolotów. Jeśli zabawka taka dostanie się przez dyszę do silnika, może spowodować nawet poważną awarię.

TURCY WIELKANOCNI



ŚWIĘTA, ŚWIĘTA I PO ŚWIĘTACH...
O WIELKANOCNYCH TRADYCJACH PISZEMY NA STR. 5

Fot. **Z. Bisanz**

PAMIĘTNY DZIEŃ

Cześć!

Chcesz znać wspomnienia ludzi, którzy póki życie nie zapomną wydarzeń sprzed lat czterdziestu?

Zajrzyj na stronę drugą! Dziś pierwsze opowieści nadesłane na hasło LR **Pamiętny Dzień.** Następne w każdy wtorek.

Szef Ligi Reporterów

To Was na pewno nie ucieszy

DZIECI A TELEWIZJA

Czechosłowaccy specjaliści stwierdzają, źc u dzieci na pierwszym miejscu w zapełnianiu wolnego czasu znajduje się oglądanie telewizji. Zainteresowanie obrazami na małym ekranie i towarzyszącą im muzyką przejawiają już dzieci dwuletnie. Czterolatki orientują się w programach telewizyjnych. Pięciolatki są skłonne oglądać wszystko „jak leci", chociaż większości programów nie rozumieją. W ten sposób stopniowo powstaje szkodliwy nawyk zbyt częstego i długiego spędzania czasu przed telewizorem. Pojawiają się też różne dolegliwości - uczucie zmęczenia, niemożność skupienia uwagi, bóle głowy, zakłócenia snu, a także wady postawy i pogorszenie wzroku.

Zdaniem specjalistów, rodzice powinni zadbać o to, aby dzieci do lat 6 nie spędzały przed telewizorem więcej niż 20 minut dziennie. Uczniowie zaś nie powinni oglądać telewizji co dzień, lecz najwyżej 2-3 razy w tygodniu i to wtedy, gdy nie są obciążeni obowiązkami szkolnymi.

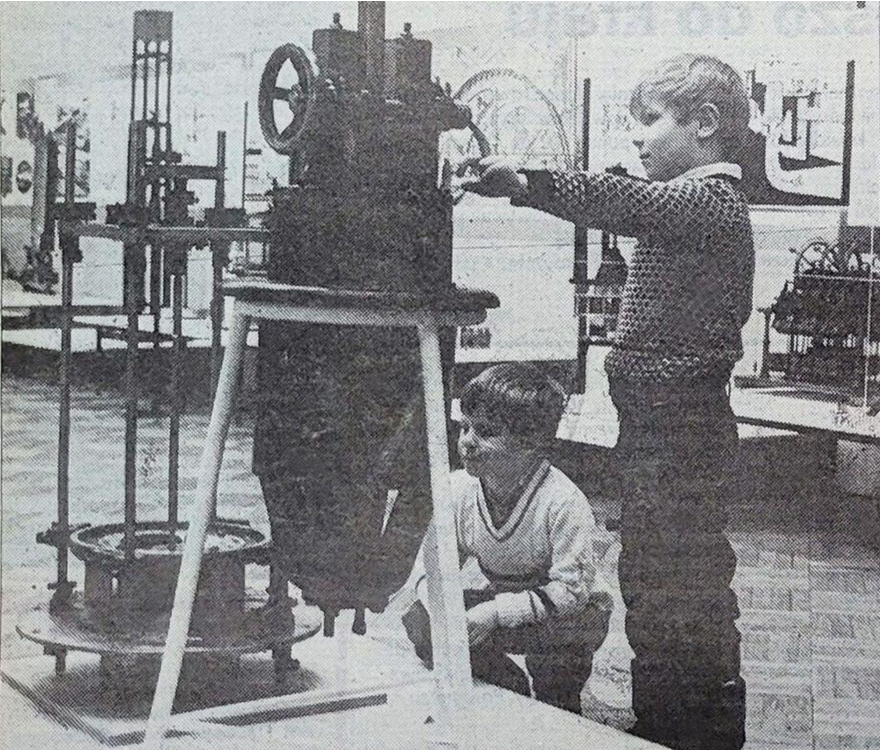
HYDROTECHNICZNY PROJEKT STULECIA

ZSRR (PAI). Największe śródlądowe jezioro świata - Morze Kaspijskie - zagrożone jest posuchą. Zużycie wody przez przemysł i wielkie aglomeracje miejskie spowodowało, że otrzymuje ono z Wołgi o 13 do 14 procent mniej wody niż dawniej. Dla ratowania morza - a z nim m. in. i lukratywnej produkcji kawioru - powstał projekt przetoczenia do Wołgi 5,8 miliarda metrów sześciennych wody rocznie, poprzez skierowanie do królowej rosyjskich rzek wód rzeki Sochona (wpada dotychczas do Morza Białego), Dźwiny i Onegi.

Kierownik Instytutu Gospodarki Wodnej ZSRR, Grigorij Woropajew, jest zdania, że zmiana biegu tych rzek jest jedynym środkiem zapobieżenia katastrofie. Niektórzy eksperci sądzą jednak, że może to spowodować na kontynencie europejskim znaczne ochłodzenie.

Eksponaty z Pragi

(CAF). W Muzeum Techniki w Warszawie otwarto wystawę „Silniki naszych przodków". Eksponowane są ryciny i archiwalne rysunki, fotografie, opisy techniczne i modele dokumentujące tradycje, wielkie odkrycia i wynalazki. Prezentowane na wystawie eksponaty pochodzą z Narodowego Muzeum Techniki w Pradze.



Mała turbina wodna Francisa

CZY ANTARKTYDA SIĘ ROZTOPI?

(PAP). Wzrastająca ilość dwutlenku węgla w atmosferze może spowodować w najbliższych dziesięcioleciach znaczne ocieplenie klimatu. Uczeni przypuszczają, że koncentracja CO_2 w atmosferze osiągnie maksimum ok. 2100 roku. Później ludzkość przestawi się na inne źródła energii i zawartość dwutlenku węgla zacznie się zmniejszać, ale powrót do równowagi może trwać jeszcze 300-500 lat.

W XXI wieku ocieplenie osiągnie maksimum. Przypuszcza się, że średnia temperatura w rejonie Antarktydy wzrośnie o ponad 10 proc. Czy grozi to stopieniem polarnych lodowców i światowym potopem? Jak wykazują ostatnie badania, w rejonach polarnych działają naturalne mechanizmy przyrodnicze zmniejszające zagrożenie. Przy równomiernym ociepleniu - 8-10 st powodującym już znaczne zmiany klimatu - lodowce Antarktydy nie zmniejszają się w sposób widoczny. Będzie cieplej i zaczną się topić lody, ale zarazem zwiększy się parowanie i klimat stanie się wilgotniejszy. W efekcie nastąpi wzrost opadów. Tak więc ocieplenie przyspieszy tylko na Antarktydzie obieg wody pomiędzy atmosferą, oceanem i lodowcami - natomiast nie spowoduje zmniejszenia się wielkiej tarczy lodowej Antarktydy. Może nastąpić nawet zjawisko odwrotne. Przy globalnym ociepleniu zacznie na Antarktydzie przybywać lodu, co spowoduje obniżenie się poziomu oceanów.

Dochodowe góry

Wspinaczki na szczyty Himalajów przynoszą skarbowi państwa nepalskiego coraz większe dochody. W1983 r. wysokie góry szturmowało 88 ekspedycji z różnych krajów i za licencje uprawniające do wspinaczki zapłaciły one 1,1 mln rupii nepalskich. W 1984 r. wyprawbyło nieco mniej, jednakże wpływy w twardej walucie zwiększyły się. Wynika to z faktu, że rząd Nepalu niedawno podniósł opłatę z 25 tys. do 50 tys. rupii za prawo wejścia na najwyższy szczyt świata - Mount Eyerest Podrożały także licencje na inne 8-tysięczniki, a także wszystkie wzniesienia o wysokości ponad 6 tys. metrów.

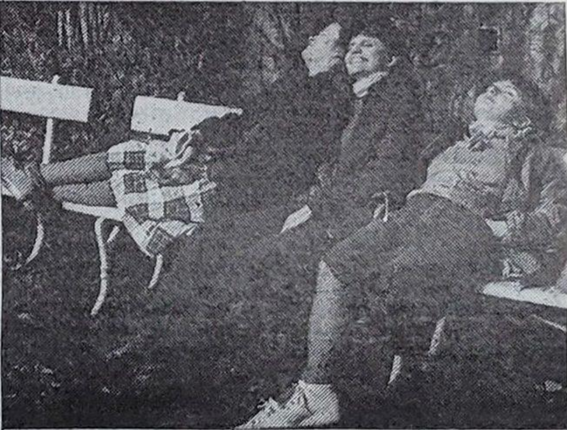
GROŹNE MIKRO-HURAGANY

(PAP). Uczeni z Narodowego Centrum Badań Atmosfery w Boulder w USA podjęli badania tzw. mikroporywów wiatru. Jest to mało jeszcze zbadane zjawisko atmosferyczne. Nagłe podmuchy silnego wiatru o małym zasięgu są groźne dla komunikacji lotniczej. Prądy powietrzne skierowane w dół ku ziemi były powodem wielu katastrof lotniczych na całym świecie. Zdołano zbadać 75 takich mikrohuraganów. We wszystkich przypadkach średnia strumienia powietrza nie przekraczała 2 km. Szybkość wiatru wynosiła ok. 12 m/sek. i nagle wzrastała do 25-30 m/sek. Takie podmuchy trwały kilkanaście sekund, po czym wszystko się uspokajało. Największa intensywność takich prądów powietrznych występuje na wysokości 75-100 m - tj. na pułapie, na którym samoloty podchodzą bezpośrednio do lądowania.

SŁOŃCE! SŁOŃCE! O jak przyjemnie!

Pierwsze naprawdę wiosenne, słoneczne dni - i już nie brak tych, którzy usiłują zdobyć jakże cenną o tej porze roku opaleniznę.

Fot. **CAF**





PAMIĘTNY DZIEŃ

Na dwóch krańcach Europy

Są to wspomnienia mojej babci oraz dziadka, który był kapralem i walczył w polskich siłach zbrojnych na zachodzie Europy.

PIERWSZA OPOWIEŚĆ (spod Rypina)

— Był początek maja 1945 roku; bardzo chłodno. Dwa dni temu przyszli na teren Rypina i okolicy żołnierze radzieccy. Byli w tej grupie ranni oraz obsługa dział przeciwlotniczych. Jeden z oddziałów zatrzymał się w małej wsi Rusinowo. Żołnierze byli zmęczeni, chociaż od dawna znajdowali się na tyłach, gdyż Rypin wyzwolono w styczniu. Zostali tu przez trzy tygodnie.

Trzech żołnierzy zamieszkało w domu rodziny Skrzyńskich, w którym mieszkała **Zenobia Skrzyńska** z matką i 3-letnią córeczką Marią oraz synem. Do tych żołnierzy przychodził co dzień młody, dziewiętnastoletni Rosjanin. Bawił się z Marią, przynosił jej słodycze, cukier. Czasami sadzał ją sobie na kolanach i prawie płakał. Opowiadał, że ma w domu taką małą siostrzyczkę, którą bardzo kocha.

Ten pierwszy dzień wolności był najszczęśliwszy dla rodzin z tej wsi. Od dawna działała na tych terenach banda. Właśnie tego dnia wpadli jej członkowie do małej szopki i zaczęli wyciągać chudą krowę, żywicielkę całej rodziny. Nie wiedzieli jednak, że w domu są radzieccy żołnierze. A tymczasem żołnierze zaczęli strzelać. Banda również otworzyła ogień. Mieszkańcy domu leżeli na podłodze, tylko Marysia wyrwawszy się z rąk matki biegała w jednej połowie domu wołając głośno: „Pan nas nie da". Nikt nie wiedział kogo dziecko ma na myśli. Dopiero gdy przybiegł Wołodia dziewczynka powiedziała „Wodzia nas nie dał".

DRUGA OPOWIEŚĆ (znad Tamizy)

— Wracałem swym czołgiem do bazy, gdy jakiś „Tygrys" otworzył do nas ogień - wspominał już nie żyjący mój dziadek, **Feliks Skrzyński**. - Nasz czołg zaczął się palić, wyskoczyliśmy więc z niego wszyscy. Było nas sześciu, uratowało się trzech. Ja, kapral Szuwacki i pewien holenderski porucznik. Do bazy - 2 km. Niemcy nadal ostrzeliwali nas; dostałem postrzał w udo. Dotarłem jednak z kolegami do przydrożnego rowu i doczołgałem przy ich pomocy do bazy. Było to już na terenie Niemiec.



Mój dziadek Feliks Skrzyński w 1945 r.

Odstawiono mnie do szpitala polowego nad Tamizą w Anglii. Po dwóch dniach trafili tam dwaj moi przyjaciele, a wraz z nimi wiadomość o zwycięstwie. Siadłem do pisania listu do żony, ale nie mogłem go napisać, bo ciągle mi przeszkadzano. W końcu o kulach powlokłem się pod drzewo i usiadłem. Naprzeciwko, też pod drzewem, leżała młoda sanitariuszka, którą przywieziono wraz z kolegami. Była ciężko ranna w głowę. Lekarze nie dawali nadziei.

Dziewczyna przesunęła się bliżej do mnie i po polsku powiedziała: „powiedz im, gdy tu przyjdą, że byłam Polką i że umarłam dla Polski". Wyjęła pistolet i zastrzeliła się... To było straszne.

Ja też nie miałem przyjemnego pierwszego dnia wolności. Do rodziny, do kraju wróciłem dopiero po roku.

Zanotowała **Katarzyna Skrzyńska**
Rusinowo

Dzielili się chlebem

Dzieciństwo i młode lata mój ojciec, **Czesław Kukliński**, spędził w Chojnicach, obok których w 1939 r. przebiegała granica państwowa pomiędzy Polską a ówczesnymi Niemcami. Tutaj stały w oczekiwaniu na rozkaz natarcia liczne dywizje Wehrmachtu. W dniu 1 września 1939 r. o godz. 4.45 padły pierwsze strzały, a w południe miasto było już zajęte przez okupanta.

Hitlerowski terror trwał przez całą okupację. Prowadzono selekcję ludności polskiej. Wymordowano ponad dwa tysiące obywateli Chojnic. Miejsce tych strasznych zbrodni nazywa się dzisiaj „Doliną Śmierci". Pod koniec stycznia 1945 r. Niemcy zgromadzili w rejonie Chojnic liczne dywizje wojska, głównie SS. Walka była bardzo ciężka i na przedpolach miasta toczyła się prawie 14 dni. Zdobywano dom za domem.

Poległo 840 żołnierzy radzieckich, a miasto zniszczone zostało w 70 procentach. Brakowało chleba i lekarstw. Zanotowano ponad 80 przypadków zachorowań na tyfus.

W pierwszym dniu wolności, który przyszedł 14 lutego 1945 r. ojciec udał się do poniemieckich koszar i przyciągnął do schronu cały worek chleba. Było to coś niezwykłego! Wszyscy -się dzielili chlebem, którego brakowało - zwłaszcza dzieciom.

W walkach o wyzwolenie Chojnic brały udział jednostki piechoty 70 Armii II Frontu Białoruskiego wspierane czołgami 1 Korpusu Pancernego oraz jednostki kawalerii i samoloty 4 Armii Lotniczej. Pierwszym Gwardyjskim Korpusem Pancernym dowodził generał Iwan Panow, a Trzecim Korpusem Kawalerii generał Oślikowski. Wyróżniała się w walkach 32 Smoleńska Dywizja Kawalerii, dowodzona przez generała Iwana Kałużnego. Jednym z bohaterów walki o miasto był 26-letni kpt. Aleksander Łaginow dowódca 10 batalionu piechoty, który przyczynił się do zniszczenia 15 czołgów niemieckich, 2 samochodów pancernych i wyeliminowania z walki 500 żołnierzy nieprzyjacielskich; Został on jednak zabity wystrzałem z uszkodzonego czołgu niemieckiego. Grób kpt. Łaginowa znajdował się przez kilka lat po wojnie na rynku pod nieruchomym czołgiem radzieckim. (Obecnie jego zwłoki spoczywają we wspólnej mogile na cmentarzu żołnierzy Armii Radzieckiej, którymi opiekuje się Szkoła Podstawowa nr 5 w Chojnicach).

Dnia 15 lutego 1945 r. w Moskwie na cześć tego zwycięstwa wojsk II Frontu Białoruskiego, 220 dział oddało salut, a niektóre jednostki szczególnie .wyróżnione w walce o Chojnice, otrzymały nazwę „Chojnickie". Jednym z dowódców wyzwolicielskich oddziałów był płk Wasilij Fiedorowicz Morozow, który 22 lata później odwiedził Chojnice i ze wzruszeniem wspominał zacięte boje, poległych współtowarzyszy oraz radość ze zwycięstwa po dwóch tygodniach walki o miasto. Władze Chojnic nadały mu tytuł - „Honorowy Obywatel Miasta Chojnic". Jedna z ulic, gdzie toczyły się zaciekłe walki otrzymała nazwę ul. Morozowa. Ojciec wspomina tego płk. Morozowa (już nie żyje, zmarł w 1973 roku w Jałcie na Krymie), ponieważ tuż po wyzwoleniu mieszkał on w budynku przy ul. Strzeleckiej w Chojnicach Wraz z grupą wyższych oficerów, a moja babcia gotowała im obiady, robiła przepierki, prasowała i sprzątała. Po wkroczeniu wojsk radzieckich do Chojnic, za zgodą matki ojciec ubrany w mundur radziecki pojechał z kolumną samochodów na Zachód za posuwającym się frontem. Pełnił rolę tłumacza przy wykonywaniu odpowiednich zadań. Po paru tygodniach wrócił do domu i jak mówi, to był dopiero jego prawdziwy pierwszy „Dzień Wolności". W Chojnicach tętniło nowe życie i była już nowa władza polska.

Anna Kuklińska Chojnice

Na ziemi wroga

Dzień zwycięstwa zastał moich dziadków **Marię i Henryka Barańskich** w Langenbergu (Turyngia). Miejscowość ta w ostatnich dniach wojny była nękana nalotami aliantów, gdyż znajdowała się tam fabryka zbrojeniowa, w której przymusowo pracowali dziadkowie. W początkach maja, po ostatnim z nalotów wkroczyły tam wojska amerykańskie. Był to pierwszy dzień wolności. Wielonarodowy tłum wyległ na ulice, witając wyzwolicieli bukietami tulipanów. Po kilku miesiącach pobytu w obozie przejściowym we Frankfurcie nad Menem, dziadkowie wrócili do Warszawy. Po powrocie do stolicy zobaczyli jedną wielką ruinę. Domu, w którym mieszkali przed wojną, prawie nie było, została po nim tylko jedna ściana. Dziadkowie przypomnieli sobie, że przy ul. Męcińskiej na Pradze mieszka rodzina babci i może ma jakieś bliższe informacje na temat ich rodziców. Pozostali tam przez dłuższy czas.

Monika Barańska Warszawa

To było w styczniu

Bohaterem tej opowieści jest mój dziadek Alfons Wielicki, który obecnie mieszka w Pogorzeli (woj. leszczyńskie), gdzie również przeżył okupację i doczekał się wyzwolenia. Pierwszy dzień wolności pozostawił na nim nie zatarte wspomnienia. A było to tak...

Dnia 27 stycznia 1945 r. we wczesnych godzinach porannych mieszkańcy Pogorzeli usłyszeli w pobliżu miasta strzały armatnie. Dziadek ze swoją rodziną pobiegł do sąsiada, który miał głęboką, murowaną piwnicę. Wszyscy się w niej szybko ukryli. Odgłosy walki były coraz bliższe. Po około trzech godzinach nastała cisza. Wtedy dziadek z sąsiadem postanowili wyjść na zewnątrz i rozejrzeć się w sytuacji.

Od strony Rynku zaczęły nadjeżdżać radzieckie samochody wojskowe. Teraz wszyscy ludzie powychodzili ze swoich domów i zaczęli radośnie witać wyzwolicieli. Żołnierze radzieccy ginęli w tłumie - ściskani i całowani przez wszystkich.

Po tym serdecznym powitaniu dowódca oddziału zapytał czy ktoś z mieszkańców może wskazać drogę, którą poprzedniego dnia uciekli Niemcy. Natychmiast zgłosił się mój dziadek. Kiedy usiadł na masce jednego z samochodów z zamiarem wskazania drogi, jeden z żołnierzy krzyknął: „Giermancy".

Na zakręcie pojawiły się niemieckie samochody pancerne. Ludzie zaczęli pospiesznie chować się do swoich domów. Walka trwała krótko. Niemcy widząc, że nie uda się im przebić, rozpoczęli odwrót. Dziadek ponownie wskoczył do samochodu i najkrótszą drogą, poprzez pola, poprowadził żołnierzy radzieckich w kierunku szosy. Jego przewidywania okazały się słuszne, tamtędy właśnie Niemcy uciekali. Po krótkiej walce zostali otoczeni. Większość z nich zginęła, kilku wzięto do niewoli. Wkrótce mieszkańcy Pogorzeli ponownie witali żołnierzy radzieckich, a także mojego dziadka, który w pewnym stopniu przyczynił się do pomyślnego zakończenia pościgu za Niemcami. Pogorzela była już wolna.

Piotr Wielicki
(16 lat)

Pieszo do kraju

Opowiada pan JAN DĄBROWSKI: - Na tę chwilę czekaliśmy prawie 6 lat. Zwiastunami wyzwolenia były ulotki antyhitlerowskie. Niemcy zaczynali się wycofywać, często pozostawiając swoją zdobycz, którą zyskali drogą rabunków. Byli pewni, że jeszcze wrócą, a te kartki zrzucane przez samoloty radzieckie, to tylko głupie żarty dla zastraszenia „spokojnej ludności niemieckiej". Tym razem jednak grubo się pomylili!

Miejscowość na Ukrainie, w której w tym czasie żyłem, została wyzwolona dnia 23 stycznia 1944 r. Wyzwolicieli witano czym tylko było można. Wydawano na ich cześć uczty, na których nie brakowało ziemniaków, kwaszonych ogórków i garnuszka mleka. Kobiety. chodziły od żołnierza do żołnierza, pytając o swych synów i mężów. Oni nie chcąc im robić przykrości, odpowiadali słowami otuchy: „Znajdą się. Jeszcze będziecie przy jednym stole siedzieli."

Ludzie wracali do dawnych miejsc zamieszkania, które musieli opuścić z różnych powodów. Ja szedłem pieszo z Ukrainy ponad 500 km. Osiedliłem się w podwarszawskiej miejscowości. Zacząłem uprawiać ziemię. Saperzy dniami i nocami rozminowywali pola przeznaczone pod orkę.

Notowała: Agata (lat 14)
Wilków
woj. radomskie

Pracował jak niewolnik, wrócił pierwszym transportem

Mój dziadziuś, Stanisław Przybylski mieszkał koło Piotrkowa Trybunalskiego. Do marca 1942 roku uczył się zawodu kołodzieja, a w wolnym czasie jeździł do Kielc handlując drożdżami i sacharyną. Z Kielc przywoził kalosze, śniegowce i inne wyroby gumowe. Wielu ludzi tak handlowało, by przeżyć. 3 marca 42 r. Niemcy zatrzymali pociąg na trasie Koluszkt-Częstochowa i wszystkich pasażerów wyprowadzili na peron i posegregowali. Tych, których uznali za przydatnych do pracy pognali do baraków w Częstochowie-Stradomiu. Po trzech dniach wywieźli ich towarowymi wagonami przez Wrocław, Drezno, Lipsk, Kessel aż do północnej Westfalii. Niemieccy gospodarze otrzymywali polską „siłę roboczą" według wielkości swoich gospodarstw. Mój dziadziuś przebywał tam aż do kwietnia 1945 r.

Ten dzień, to jest 13 kwietnia 1945 r. będzie pamiętał do końca życia, bo to był naprawdę pierwszy dzień wolności, gdy 1 i 9 Armia Pancerna (amerykańskie) zamknęły kocioł wokół wojsk niemieckich i przyniosły wolność ludziom różnych narodowości, pracujących jak niewolnicy u bauerów.

Po zakończeniu Wojny Polaków skoszarowano w Hanowerze, a potem szykowano transporty do Polski.

Dziadziuś powrócił pierwszym transportem, 30 października 1945 r. Wielu młodych wyjeżdżało na Ziemie Odzyskane, więc i dziadziuś przyjechał do Świdnicy, ponieważ już tutaj znajdowała się część jego rodziny. Pozostał tu do dnia dzisiejszego.

Klaudia Przybylska (9 l.)
Świdnica



Może jest tak: nie dość że kujon, to jeszcze skarżypyta

Piszę w odpowiedzi na list Mariusza pt. „Bardzo dobrze się uczę i dlatego koledzy mnie nie lubią".

Mariuszu, pytasz co robić. Spróbuję Ci odpowiedzieć: przede wszystkim nie donosić. Jest to obrzydliwa cecha charakteru. Zresztą skarżeniem pogarszasz swoją i tak niedobrą sytuację. Zdanie kolegów o Tobie najprawdopodobniej brzmi: „Lizus! Nie dość, że kujon, to jeszcze skarżypyta".

Wierz mi, że nie wszyscy dobrzy uczniowie nie są lubiani. Ja np. mam koleżankę, która wszystkie świadectwa ma z „czerwonym paskiem". Mimo to jest lubiana, znajduje się w czołówce klasowej. Nie jest z siebie dumna, nie obnosi się ze swoimi ocenami. Pomaga kolegom w nauce; Czasem daje „zerżnąć". Ma jedną swoją „piętę"- matematykę. Nie ukrywa tego, nie wstydzi się prosić o pomoc kolegów lepszych od niej.

Osobiście przypuszczam (jeśli się mylę - z góry przepraszam), że Ty właśnie jesteś pyszny, czujesz się „ponad klasę" i dajesz to po sobie poznać. Chwalisz się ocenami, lecz nigdy nie dajesz ściągnąć ani nie pomagasz.

Jeśli tak nie jest - chodzisz do wyjątkowo głupiej i zawistnej klasy. W takim wypadku nic się nie da zrobić - najwyżej wytrwać, albo przenieść się do innej klasy.

Marta K. kl. VII

Nie pójdę śladami ojca

Mam 16 lat. Jestem stałym czytelnikiem „Świata Młodych". Sprawa, o której chciałbym napisać; bardzo mnie boli. Kilka miesięcy temu poznałem dziewczynę. Bardzo spodobaliśmy się sobie. Od pewnego czasu Anita jednak unika mnie. Powód jest taki, że ona pochodzi z bogatej, inteligenckiej rodziny, natomiast mój ojciec jest nałogowym alkoholikiem i nigdzie nie pracuje. Rodzinę utrzymuje mama.

Przypadkowo dowiedziałem się od kolegi o przyczynie, dla której Anita zerwała ze mną. Otóż uważa ona, że ja również stanę się podobny do ojca. Bardzo dużo już wycierpiałem z powodu pijaństwa mojego ojca. Bił mnie i wyrzucał z domu moją mamę. Nietrudno więc domyślić się, że nienawidzę pijaństwa. Postanowiłem sobie, że nigdy nie pójdę śladami ojca, Bardzo proszę, poradźcie, co zrobić, aby przekonać Anitę o moim uczuciu do niej i moich zasadach.

Tomek

... i uciekam w ciche miejsce na podwórku...

Mam 10 lat i chodzę do III klasy. Mam niemałe zmartwienie, bo prawie nikt mnie nie lubi. Przezywają mnie od „grubasów", „dzięciołów" itd, itp. Nieraz już w ogóle nie mogę wytrzymać, uciekam w ciche miejsce na podwórku. Często się zdarzyło, że mnie bili.

Proszę mi pomoc, proszę napisać co robić, czekam na rady kolegów.

Zakłopotany Radek

Uwaga!
Autorkę listu do redakcji, podpisującą się „Bibliotekarka z woj. krośnieńskiego", proszę o listowny kontakt i podanie adresu. Chciałabym odpowiedzieć na jej uwagi.
Teresa Maciszewska

SPRAWY TE SAME, ALE WIĘKSZA DOJRZAŁOŚĆ

Nasz redakcyjny telefon 214-706 wielu z Was dobrze zapewne zna. Pod nim bowiem przez kolejnych dziewięć wtorków i czwartków dyżurowały panie psycholog z Wojewódzkiej Poradni Wychowawczo-Zawodowej, udzielające wszelkich rad i informacji ósmoklasistom borykającym się z trudnym wyborem szkoły i przyszłego zawodu.

To nasze pogotowie telefoniczne, działające już z kilkuletnią tradycją, cieszyło się i w tym roku wielkim powodzeniem. Fakt, że tylu z Was skorzystało z takiej formy pomocy, dzwoniąc z różnych stron Polski - nie tylko małych miasteczek, ale i dużych miast, gdzie istnieją przecież także poradnie zawodowe, świadczy o magii stolicy, o przekonaniu, że porada właśnie stąd będzie naj, najlepsza. Dowodzi to także, że szkoły w tym roku nie bardzo wysiliły się, by Wam, ósmoklasistom, pomóc w tak trudnym życiowym momencie wyczerpującą informacją i poradą...

Wasze tegoroczne wątpliwości dotyczyły podobnych spraw, jak w latach ubiegłych - to zrozumiałe. Byliście trochę bardziej świadomi tego co możecie i chcecie robić niż Wasi koledzy - ubiegłoroczni ósmoklasiści. I bardziej konkretni. Pytaliście najczęściej o to, gdzie mieści się taka a taka szkoła w Waszym województwie czy mieście, o adresy szkół danych specjalności, o naukę języków obcych w poszczególnych liceach ogólnokształcących, o wszelkie informacje na temat liceów w Waszej dzielnicy, jakie są tam wymagania, trudno czy łatwo do nich się dostać. I czy warto iść do liceum, bo może lepiej do zawodówki... Bardzo wiele było takich właśnie pytań - o potwierdzenie słuszności wyboru. Wtedy właśnie dyżurujące panie psycholog wypytywały szczególnie starannie - o ile na to krótka telefoniczna rozmowa pozwalała - o zainteresowania lub ich brak, oceny z poszczególnych przedmiotów, warunki domowe, zdrowie. Czasem wynikiem takiej rozmowy było zapewne rozczarowanie i przykrość. Ktoś np. wybrał zawód leśnika, a choruje na gościec, ktoś inny chce być mechanikiem precyzyjnym, a ma poważną wadę wzroku. Te akurat choroby uniemożliwiają wykonywanie tych zawodów. Ale przecież po to są te nasze dyżury przy telefonie byście mogli dowiedzieć się jak najwięcej o interesujących Was szkołach, również dlaczego i kiedy są one nie dla Was.

Sporo też pytań zadawali uczniowie zupełnie nie zainteresowani, tacy co to nie wiedzą kompletnie, co chcą robić. Mówili najczęściej: - wszystkie przedmioty jednakowo lubię albo - nic nie lubię, nie mam żadnych zainteresowań, proszę mi wybrać szkołę... To oczywiście niemożliwe; nikt nie może przez telefon podjąć tak ważnej decyzji w dodatku za nieznaną sobie osobę.

Wielu z Was pytało o zawody, o których rzeczywiście mało się wie. Na przykład: jak zostać nurkiem, lotnikiem (to chłopcy) lub stewardesą (dziewczyny). W tym roku „modne" są zawody - nazwijmy je - przygodowe: marynarz, lotnik, stewardesa. Równie modnym, choć znacznie zwyklejszym, jest fryzjerstwo. Fryzjerką chce zostać cała masa dziewcząt. Dziewczyny nadal pytają o zawody „marzeniowe", choć takich pytań jest znacznie mniej niż w latach ubiegłych: jak zostać piosenkarką czy aktorką bezpośrednio po szkole podstawowej. To oczywiście niemożliwe! Również nie można po podstawówce zostać prezenterem telewizyjnym, jak pan Szewczyk, dziennikarką w „Świecie Młodych" ani nigdzie indziej. Chłopców interesują bardzo szkoły chemiczne, elektroniczne, technika geologiczne, górnicze. Nikt nie zapytał o „budowlankę", o takie zawody jak murarz czy tokarz.

Telefonowali również do naszego „telefonu zaufania" Wasi rodzice. Ich interesowały przede wszystkim takie sprawy jak możliwość pracy po ukończeniu szkoły, dobre zarobki w przyszłości i sama praca – niezbyt ciężka, najbardziej odpowiednia dla ich syna czy córki, dostosowana do ich możliwości umysłowych i zdrowotnych.

Wielu z Was, ósmoklasistów, ma wciąż wątpliwości, jakie egzaminy czekają Was do wybranych szkół. Przypominam więc: do szkół ponadpodstawowych (licea ogólnokształcące, ekonomiczne, technika) zdajecie egzaminy z języka polskiego (19 czerwca br. godz. 10) i matematyki (20 czerwca godz. 10). Każda ze szkół, w zależności od profilu nauki, wprowadza egzaminy uzupełniające. Na przykład w tym roku szkolnym w technikum terenów zielonych będzie to biologia, w szkołach typu mechanicznego - fizyka.

W szkołach zasadniczych nie ma egzaminów wstępnych - taka jest zasada. Ale te spośród nich, które będą miały szczególnie dużo kandydatów, mogą takie egzaminy dodatkowo zrobić. Np. w ub. roku w sześciu szkołach zawodowych wprowadzono egzamin z języka polskiego i matematyki.

Czekają teraz Was i Waszych rodziców trudne dni i ważne dorosłe decyzje; solidna nauka, trochę zdenerwowania. Wszystko co nowe, budzi przecież emocje... My w każdym razie trzymamy, jak na przyjaciół przystało, za Was kciuki!

KRYSTYNA KLIMOWICZ



Kąpiel w czterochloroetylinie

Wiemy, że wiele dziewcząt próbuje zabawić się w domową farbiarkę. Mają frajdę, kiedy wkładają własnoręcznie ufarbowaną sukienkę. Znamy specjalistki tak umiejętne dozujące farbę, że otrzymują cuda, o jakich nie śniło się koleżankom. I niektórzy chłopcy też próbują zmienić domowym sposobem kolor swoich wytartych dżinsów.

Domowe farbowanie nie zawsze jest pewne - tak uważa farbiarz; mistrz Jan Wojciech Baranowski pracujący od 25 lat w tym zawodzie. Jeśli chcemy ufarbować cenniejszą rzecz, jak płaszcz, kostium czy kożuch, lepiej udajmy się do farbiarza-fachowca. Doradzi on jaki kolor będzie najlepszy, użyje odpowiednio trwałych farb. Pan Jan powiada, że zanim nasze ubranie oddamy do farbiarni, powinniśmy je poddać kontroli czystości. Farbuje się tylko rzeczy świeżo uprane. Unika się w ten sposób utrwalania plam i zacieków podczas. farbowania. Nie wszystko można wyprać domowym sposobem. Rzeczy większe lub mogące się skurczyć najlepiej oddać do pralni chemicznej. Kąpiel w czterochloroetylinie sprawi, że w czasie 40 minut znikną i te najmniejsze ślady zabrudzenia. Jedwabie sztuczne i naturalne pierze się zazwyczaj w benzynie. Ten sposób prania wymaga jednak ogromnej ostrożności i odpowiednich warunków. Wystarczy maleńka iskra, powstała chociażby przy składaniu wełnianego swetra, by się zapaliły opary, którymi przesycone jest powietrze wokół czyszczonej benzyną odzieży.

Według mistrza dobry pralnik powinien dogłębnie poznać tajniki wiedzy włókienniczej. Musi umieć określić rodzaj materiału, z którym ma do czynienia, zastosować odpowiedni płyn do prania, rozpoznać rodzaj zabrudzenia. Te wiadomości zdobywa się na kursie trwającym trzy miesiące. Organizowany jest on zwykle przez Cech Farbiarski i Prania Chemicznego. Po trzech miesiącach zajęć teoretycznych młodego adepta sztuki farbiarskiej i pralniczej czeka trzyletnie terminowanie u mistrza. Po tym okresie uczeń zdaje egzamin czeladniczy z wiadomości teoretycznych i praktycznych. Musi znać odpowiedzi na podstawowe pytania, m. in. jakie są gatunki materiałów, czym się je pierze, jakie tkaniny można farbować, jakie są rodzaje barwników.

Mistrz Jan Wojciech Baranowski przyjmuje odzież do prania w małym sklepiku, który odziedziczył po ojcu. Ojciec był tu szefem od 1921 roku.

Pan Baranowski nie ukrywa, że praca w pralni nie należy do najłatwiejszych. Kontakt ze środkami chemicznymi, kłopoty ze zdobyciem płynów do prania, nienormowany czas pracy (trzeba pracować tak długo, aż wykorzysta się płyn w pralkach i wszystko zostanie wyprane) - utrudniają życie pracownika pralni. Ale - mówi pan Baranowski - czasami zapomina się o tych codziennych trudach. Dzieje się tak np. wtedy, gdy klienci, którzy korzystają z usług firmy od dobrych kilku lat, z każdego urlopu przesyłają kartki z pozdrowieniami i podziękowaniami. Wówczas wiem, że mój trud jest potrzebny.

JOLANTA TOMALA

W bajecznie kolorowe tkaniny ubierali się już starożytni

Liście indygowca i marzanny sposobem na szarość

W grobowcach faraonów egipskich uczeni odkryli oprócz wielu cennych przedmiotów cząstki barwnych tkanin. Znaczyło to, że umiejętność barwienia włókien posiadali już starożytni. Podobne odkrycia towarzyszyły pracom archeologicznym w Chinach i Indiach. Około 4 tyś. lat pne. w przodujących wówczas pod względem cywilizacji krajach farbowano już materiały. Farbiarstwo miało z początku charakter zajęcia domowego.

Wzrastające jednak potrzeby ludności sprawiły, że narodził się zawód farbiarza. Zawód ten wymagał niemałej wiedzy. Potrzebna była znajomość podstaw biologii i chemii. Do farbowania używano bowiem odpowiednio spreparowanych barwników roślinnych. Farby otrzymywano m. in. z liści indygowca, marzanny, orselki, urzetu. Barwiono nimi len, bawełnę i wełnę. Zanim przystąpiono do barwienia, trzeba było włókno lub tkaninę wybielić, czyli usunąć z niej naturalne barwniki. Bielono za pomocą środków utleniających (m. in. wodą utlenioną), wykorzystywano też wybielające właściwości promieni słonecznych. W Polsce miejsca, na których rozkładano płótno do wybielania, nazywano blichem. Dzielnice niektórych miast noszą nazwę Blich dla upamiętnienia miejsc, w których to się odbywało (np. w Łodzi, Łowiczu).

Po wybieleniu wkładano tkaniny do wielkich kadzi wypełnionych farbą. Z tej piekielnej kuchni wędrowały bajecznie kolorowe materiały do cesarskich komnat i na jarmarki. Niektóre kolory były zastrzeżone dla wąskich grup ludzi. I tak w starożytnym Rzymie nie wolno było zwyczajnemu śmiertelnikowi nosić ubrań w kolorze purpurowym. Szaty tej barwy zastrzegł sobie cesarz i jego dwór. Z tej tradycji wywodzi się purpurowy kolor ubrań dostojników kościelnych. W tradycjach kulturowych kolor odgrywa do tej pory dość dużą rolę. Panna młoda z kręgu kultury europejskiej ma zwykle na sobie biały strój (w starożytnej Grecji młode mężatki ubierały się w czerwone welony). Żałobę zaznacza się w wielu krajach kolorem czarnym. Japończycy natomiast podkreślają żałobę białymi strojami.

Naturalne barwniki roślinne stosowano w farbiarstwie do połowy XIX wieku. Od drugiej połowy XIX stulecia rozpoczyna się rozwój farbiarstwa opartego na barwnikach syntetycznych. Współczesne farbiarstwo posługuje się prawie wyłącznie takimi farbami. Warto wiedzieć, że syntezę jednego z pierwszych barwników organicznych przeprowadził w 1855 ręku polski chemik Natanson. Otrzymał on czerwony barwnik zwany fuksyną (rozanilina). Barwi on wełnę, bawełnę, jedwab, niektóre gatunki włókien sztucznych, papier i skórę, (oprac. **jt**)



Dziewczęta hinduskie po dziś dzień noszą stroje farbowane barwnikami roślinnymi. I trzeba przyznać, ie kolory otrzymywane starodawnymi sposobami nie ustępują wcale kolorom powstałym dzięki nowoczesnej technologii

Fot. **archiwum**

Masy i klasy (2)

Drukujemy dziś drugi odcinek reportażu Michała Mońki pt. „Masy i klasy". W poprzednim numerze mogliście poznać niektóre problemy tego jedynego w swoim rodzaju rządu w Szkole Podstawowej nr 8 w Toruniu, jego premiera i ministrów: łączności, gospodarki oraz szefa Służb Porządkowych.

Kto chce mieć władzę? Kto chce być rozjemcą antagonistycznych klas?

- Przewodnia rola w Rzeczypospolitej przypada klasom zielonym i żółtym, które są najmłodsze, najliczniejsze i najpracowitsze. I cieszą się szczególną troską Sejmu.

Szkoła liczy 85 oddziałów, w tym. osiem zerówek, 26 klas zielonych, 20 żółtych, 16 pomarańczowych i tylko 12 czerwonych. W każdym oddziale jest co najmniej 30 uczniów.

Sejm jest jedynym i sprawiedliwym reprezentantem wszystkich oddziałów, bez względu na kolor klasy. Do sprawowania władzy został upoważniony w powszechnych wyborach.

Kadencja Sejmu trwa dwa lata. Sprawuje on władzę w Rzeczypospolitej poprzez swoje organa, którymi kieruje prezydent, premier i ministrowie rządu.

Prezydent jest zarazem marszałkiem Sejmu.

- Tu są rządy prezydenckie - mówi nauczycielka języka rosyjskiego, opiekunka Rzeczypospolitej, pani Ewa Okońska. - Nie jest to jednak kult jednostki.

*

Prezydent i marszałek Sejmu Rzeczypospolitej Dziecięcej: Małgorzata Kożuchowska, lat 13, urodzona we Wrocławiu, klasa czerwona, ojciec pracownik naukowy na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika, matka uczy w szkole średniej.

- W poprzedniej kadencji Sejmu byłaś ministrem gospodarki i szefem Służb Porządkowych. Obecnie zasiadasz wfotelu prezydenta. Czy zasmakowałaś we władzy?

- Prezydenturę sprawuję z woli mas uczniowskich, w interesie wszystkich klas, a nie dla własnej przyjemności. Przez pewien czas byłam prezydentem-elektem. Ustępujący prezydent Suwka-Sowińska, przekazując mi urząd, ostrzegła, że stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej jest kawałkiem gorzkiej władzy nad rozwrzeszczaną społecznością, nie przywykłą do dyscypliny.

- Czy prezydent Rzeczypospolitej nie ma poważania wśród mas? A może chodzi ci o jakieś przywileje związane z władzą?

- Nie mam i nie chcę mieć więcej szacunku niż mają moje koleżanki. Nie chcę też mieć jakichś korzyści tylko dlatego; że jestem głową Rzeczypospolitej. Uważam, że jeśli ktoś jest prezydentem czy ministrem, powinien mieć tylko dużo pracy i zadowolenie z wypełniania woli społeczeństwa.

- Czy masz to zadowolenie?

- Lubię decydować o ważnych sprawach Rzeczypospolitej. Sprawowanie władzy sprawia mi Wiele satysfakcji.

- Dyrektorzy też lubią decydować;

- Dyktatura jest chorą władzą. Takiej władzy masy uczniowskie by nie zaakceptowały. U nas jest demokracja. Na co dzień jesteśmy z masami; razem się bawimy, uczymy, przeżywamy wspólnie wszystkie troski. W naszej Rzeczypospolitej nie ma podziału na „my" i „oni", nie ma problemu z dialogiem, z porozumieniem.

- Masy liczą dwa i pół tysiąca uczniów. Nie rozmawiasz ze wszystkimi. Skąd wiesz, że wszyscy uczniowie akceptują twoją władzę?

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Masy i klasy (2)

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

- Co pewien czas ogłaszamy referendum. Rząd chce znać opinię mas uczniowskich na temat np. organizacji andrzejek. Uważam, że każda klasa, począwszy od klas zielonych, a skończywszy na czerwonych — powinna mieć możliwość wypowiedzenia się we wszystkich ważnych sprawach Rzeczypospolitej. Powszechny udział w referendum jest wyrazem poparcia dla rządu, dla Sejmu. Wyniki referendum są każdorazowo rozpowszechniane przez nasze środki masowego przekazu.

- Czy sądzisz, że ten, kto ma informację, ma władzę?

- Sądzę, że panowanie nad informacjami jest panowaniem nad umysłami. Uczę się języków obcych, by zdobyć niezależność w dziedzinie informacji. Sądzę, że dobre informacje dają możliwość dojścia do prawdy o świecie, o życiu, o władzy.

*

- Czy wiadomo coś o kluczu?

Minister finansów dźgnął łokciem ministra gospodarki: -Co z tym kluczem?! Za co bierzesz rządowe pieniądze?

*

Minister finansów i dyrektor Banku Rzeczypospolitej: Izabella Łęcka, lat 12, urodzona w Toruniu, klasa pomarańczowa, ojciec oficer Wojska Polskiego, matka uczy w szkole podstawowej.

- Czy minister finansów siedzi na pieniądzach?

- Siedzę, jeśli podatnicy są sumienni, jeśli każdy wpłaci złotówkę miesięcznie na Sejm. Niestety, za październik zapłaciła tylko pomarańczowa Vh i czerwony oddział siódmej klasy.

- Nie potraficie zmusić mas uczniowskich do płacenia?

- Na razie przekonujemy, że płacenie podatku jest ich obowiązkiem. Jeśli perswazje nie pomogą, sięgniemy do innych środków. Rząd musi dysponować jakimś budżetem.

- Ile pieniędzy masz dziś w Banku?

- Z tego roku ledwo 60 zł. Z zeszłego pozostało 1500. Cóż to za kwota, gdy trzeba nią sprawiedliwie obdzielić osiem ministerstw. Sąd, Adwokaturę i Prokuraturę Rzeczypospolitej.

- Co to znaczy: sprawiedliwy podział?

- No, to podział wedle pracy, zasług, potrzeb. Największe potrzeby ma minister gospodarki, a więc dostaje największą.

- A podział ze względu na zasługi?

- Zasługą jest po prostu solidna praca. Natomiast przynależność do wiodącej organizacji, np. do PCK albo ZHP, nie ma znaczenia przy podziale. Nie ma też znaczenia to, czy ktoś należy do klasy zielonej albo do czerwonej. Czy dojeżdża do szkoły autobusem, czy chodzi pieszo. Czy jest synem sprzątaczki, czy nauczycielki. Najważniejsze jest to, ile kto daje z siebie dla wspólnego dobra, jakim tu jest Rzeczpospolita Dziecięca.

- Czy w dorosłym życiu chciałabyś zostać ministrem finansów?

- Nie chcę mieć nic wspólnego z finansami. Chcę być tłumaczem, interesują mnie języki. Zauważyłam, że świat wyrażony np. po angielsku albo po niemiecku jest innym światem. To jest bardzo ciekawe. Chcę poznać języki, by poznać światy.

*

Minister Joanna aż podskoczyła na widok pędzącego do niej funkcjonariusza Służby Porządkowej. - Nareszcie klucz!

Zgrzyt zamka — i drzwi do Sejmu otwarte. Posłowie przerywają grę w kapsle, wchodzą do sali obrad. W ławkach rządowych zasiada premier Misiak z ministrami. Za nimi - sędziowie, prokuratorzy, adwokaci. Dalsze ławki zajmują posłowie wszystkich klas.

Na mównicy staje marszałek Sejmu, Małgorzata. Stuknięcie w stół - raz, drugi.

- Otwieram czwartkową sesję Sejmu! - oznajmia marszałek. - Zanim przedyskutujemy sprawę referendum, proszę, by minister kultury, Magda, przedstawiła posłom stan przygotowań do zabawy andrzejkowej.

*

Minister kultury: Magdalena Jurecka, lat 13, urodzona w Toruniu, klasa czerwona, ojciec oficer Marynarki Handlowej, matka technik-analityk, zajmuje się domem.

- Czy łatwo zarządzać kulturą w czasach kryzysu?

- Niełatwo. Masy uczniowskie chcą się bawić, a resort mój nie ma pieniędzy na zabawy. Niemniej, za pieniądze, które wyżebrzę u ministra finansów, staram się organizować różne imprezy: bale, koncerty życzeń, obchody różnych świąt.

- Czy niedostatek pieniędzy jest jedyną przeszkodą, którą minister kultury musi pokonać, by rozbawić masy?

- Zanim urządzę zabawę, muszę uzyskać zgodę pani dyrektor Mausolf. Sądzę, że minister w Warszawie ma podobne trudności. Także musi uzyskać zgodę na urządzenie jakiejś imprezy. I, taksamo jak ja, nie ma pieniędzy. Tu, jak w całym kraju, najważniejszy jest resort gospodarki i służb.

- Czy masy to rozumieją?

- Niestety, odnoszę wrażenie, że masy uczniowskie, szczególnie klasy zielone i żółte, zapominają, że jest jeszcze coś poza zabawą.

- Czy w przyszłości chciałabyś mieć władzę?

- Chcę iść na medycynę. Interesuję się też lingwistyką. Może będę się uczyć angielskiego albo niemieckiego, żeby łatwiej porozumieć się z ludźmi innych kultur.

*

- Wysoki Sejmie! - mówi minister kultury, Magda. – W tym roku, jak i w latach poprzednich, organizujemy andrzejki. Jest ogłoszony konkurs z nagrodami na najlepiej przygotowaną zabawę. Komisja z klas czerwonych, pod moim przewodnictwem, oceni wypieki i znajomość obrzędów andrzejkowych. Wyniki konkursu ogłosimy przez radiowęzeł.

CIĄG DALSZY NA STR. 5



> *„Kiedy się ktoś zaczyta, zawsze albo się czegoś nauczy, albo zapomni o tym, co mu dolega, albo zaśnie – w każdym razie wygra”*
>
> **Henryk Sienkiewicz**

Dlaczego w nocy jest ciemno? W zimie zimno? Dlaczego śnieg jest biały, a niebo niebieskie, trawa zielona, a morze słone? Głupie pytania? Nie całkiem. Wszakże *„zdziwienie, a potem pytanie „dlaczego" — to pierwszy krok do odkrycia naukowego"* - pisze autor tej książeczki.

Popularyzowanie wiedzy poprzez odpowiadanie na takie właśnie, niby to głupie pytania, nie jest nowością - na świecie i u nas. Zwłaszcza przed ćwierćwieczem, zanim nasza literatura popularnonaukowa spoważniała (przez co dla wielu stała się zbyt nieprzystępna), korzystano z tego sposobu nagminnie. Całe serie dostępnych i przystępnych dziełek stawiały te pytania z przeróżnych dziedzin i dawały odpowiedzi. Czasem - w imię większej przystępności - uproszczone, ale... Ale jednak ta wiedza, powielona w dziesiątkach, setkach książeczek, broszur o grubości zeszytu, miała rzeczywiście szansę dotrzeć do każdego. Wszakże trud ich autorów był ukierunkowany nie tylko na samo przekazanie wiedzy, ale na jej odpowiednie - przystępne i obrazowe - podanie.

Książka Jana Rurańskiego kontynuuje tamte, w dużej mierze zanikłe tradycje. Ale wnosi też coś nowego. Tamte książki były zwykle wykładami jednej dyscypliny czy jakiegoś jej detalu. Pisali je zwykle najtęższi specjaliści i każdy pisał „o swoim". Na ogół starali się przy tym dać w miarę pełny szkic swej dziedziny czy wybranego zagadnienia. Tu jest inaczej. I dobrze...

Bo - jak pisze autor - *„ta książeczka jest dla ludzi, którzy chcąc się napić piwa, nie zamierzają od razu kupować całego browaru. W każdej poważnej publikacji popularnonaukowej można znaleźć anegdoty, ciekawostki i paradoksy, które uatrakcyjniają lekturę, jak rodzynki dodają smaku ciastu, ja zrobiłem rzecz nieprzyzwoitą: wydłubałem te rodzynki z poważnych dzieł, by oszczędzić dłubaniny tym, którzy nie mają na to czasu lub ochoty. Jest to więc bardziej zbiór ciekawostek naukowych, historycznych czy przyrodniczych niż gruntowny wykład popularnonaukowy. Ale, naturalnie, wszystkie fakty, hipotezy i teorie naukowe pochodzą z rzetelnych źródeł"*.

Toteż już nie tylko cała książka, ale każdy jej rozdział, jest jakby przekrojem przez różne dyscypliny, kompozycją rodzynków wydłubanych z różnych ciast. Ileż różnych dziedzin, wcale nie tylko ściśle naukowych, przewija się tutaj! Od fizyki do kryminalistyki, od botaniki do ogrodnictwa i ...handlu, od astronomii do ...gastronomii. Mowa o wielkich dziełach i o oszustwach, o odkryciach i aferach, o nowych prawdach i starych zabobonach. Obok wyjaśniania zjawisk dawniej już zbadanych - autor omawia i najnowsze osiągnięcia wiedzy. Zaś przedstawiając różne jej gałęzie - mimochodem ukazuje całościowy, interdyscyplinarny obraz świata. A wszystko to odbywa się w stylu gawędy, dalekiej od podręcznikowych schematów. Chociaż - trafiają się i definicje. Np. dowiadujemy się, że „biochemicy to specjaliści, którzy biologom opowiadają o chemii, chemikom o biologii, a między sobą najchętniej rozmawiają o kobietach". Zamiast wykresów i tabel - zdobią tę książkę piękne, barwne i dowcipne ilustracje Edwarda Lutczyna.

A poza tym - uwaga, uwaga! - książeczka jest zwięzła i krótka. Więc, biorąc pod tym względem przykład z autora, i ja już kończę, życząc dobrego apetytu przy konsumowaniu rodzynków składających się na tę książkę, która notabene wyjaśnia też, dlaczego lubimy słodycze;.. (**tok**)

Fot. **J. Łopuszyński**

Jan Rurański „Dlaczego sól jest słona, czyli odpowiedzi na głupie pytania", wyd. „Alfa", Warszawa 1984, cena 110 zł.

W POSZUKIWANIU SŁOŃCA I POKARMU (5)

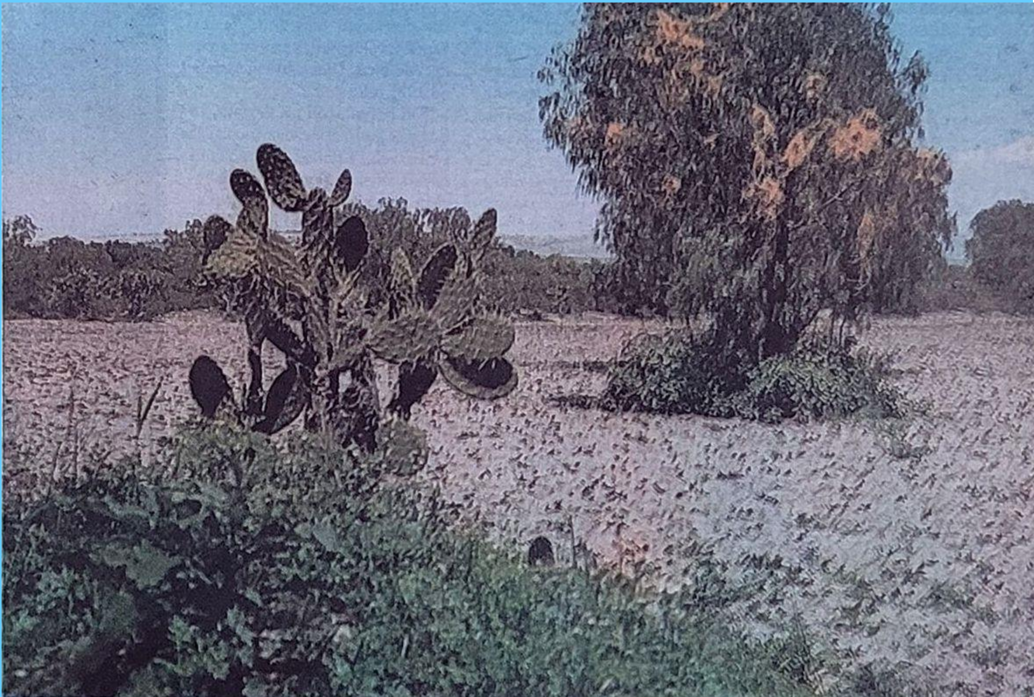
- **Mogą żyć wewnątrz żywiciela**
- **Niektóre kwitną w ziemi**
- **Czasem pasożytują na własnym rodzeństwie**

Kwitnące pasożyty

Zdawałoby się, że wśród roślin kwiatowych, nie potrzebujących do życia nic więcej poza światłem, wodą i glebą, pasożytów nie znajdziemy. A jednak, jest ich około 520 gatunków, co stanowi 0,4% wszystkich roślin kwiatowych. „Objadają" głównie rośliny zielne, rzadziej drzewa i krzewy. Mimo iż należą do 9 różnych rodzin, to tryb życia upodabnia je do siebie. Jedynie kwiaty zachowują wszystkie cechy charakterystyczne rodziny.

Pod względem sposobu odżywiania pasożyty tworzą dwie grupy. Pierwsza - to rośliny bezzieleniowe, które zredukowały liście, niekiedy także pęd i korzenie. Z żywiciela czerpią wszystkie składniki pokarmowe za pomocą ssawek, wnikających w jego ciało. Niektóre prowadzą „życie utajone". Na przykład, bezlistne pędy raflezji ukryte są wewnątrz pni lub korzeni żywiciela. Dopiero w okresie dojrzałości wyrastają na zewnątrz barwne, olbrzymie kwiaty, osiągające 1 m średnicy!

Druga grupa - to pasożyty wykształcające zielone liście, ale najczęśdej pozbawione korzeni. Z innej rośliny czerpią jedynie wodę i sole mineralne, tym niemniej w żadnym okresie życia nie mogą się obejść bez kontaktu z żywicielem.



Kanianka (Cuscuta) oplatająca eukaliptus pomarańczową masą pędów bez liści i korzeni

Pasożytnictwo powstało z trzech różnych, mniej ścisłych form współżycia: (1) poprzez zrastanie się korzeni dwóch gatunków współbytujących w zbiorowisku roślinnym, (6) z wykorzystania przez liany innych roślin, najpierw jako podpory, później jako żywidela oraz (3) z wykorzystania przez epifity innych roślin, najpierw jako podłoża, potem jako żywidela.

W naszym kraju powszechnie znanym pasożytem jest **jemioła**, atakująca wiele gatunków drzew. Wprawdzie pod względem zdobywania pokarmu jest częściowo samodzielna, niemniej jednak wyłącznie z ciała żywidela czerpie wodę, sole mineralne i substancje wzrostowe. Białe jagody jemioły dojrzewają jesienią lub wczesną zimą. W ich miąższu ukryte jest twarde nasienie, otoczone śluzem. Owoce zjadane są przez ptaki, które jednak nie mogą strawić śluzu, Wraz z kałem ptaków nasienie opada więc na gałęzie drzew, przykleja się, ale kiełkuje dopiero wiosną, gdy w drzewach zaczynają krążyć soki. Natychmiastowemu kiełkowaniu przeszkadza właśnie śluzowata otoczka. Wiosną z nasienia wyrasta zielony słupek, wyginający się na wszystkie strony jakby w poszukiwaniu powierzchni gałęzi. Po jej dotknięciu rozszerza się, przymocowuje i wytwarza pierwsze ssawki wrastające w naczynia żywiciela. Drugi koniec słupka odkleja się wówczas od resztek nasienia i wyprostowuje. Ulistnione pędy i pierwsze kwiaty wyrastają dopiero w następnym roku.

Groźniejszym pasożytem, bo żerującym całkowicie na drzewach, krzewach lub roślinach zielnych, jest **kanianka**, pozbawiona zarówno liści, jak też korzeni. Z jej pomarańczowych lub różowych, wiotkich pędów wyrastają jedynie drobne kwiaty. Kanianka produkuje masę drobnych nasion, które zachowują żywotność przez wiele lat. Z nasienia wyrasta szczątkowy korzonek i nitkowaty pęd, kołyszący się na wszystkie strony. Gdy spotka łodygę żywiciela, w miejscu wykształca ssawki wrastające w jego wiązki przewodzące. Dolna część pędu kanianki zanika, natomiast górna rośnie bardzo szybko, okręcając się co pewien czas wokół łodygi żywiciela i wpuszczając w nią nowe ssawki. Jeśli obok siebie kiełkują liczne nasiona, jedne pędy mogą pasożytować na drugich, przedłużając w ten sposób swój żywot.

Przykładem pasożyta korzeniowego jest **łuskiewnik**, często spotykany w cienistych lasach. Atakuje przede wszystkim korzenie olchy, leszczyny i buka. Większą część życia spędza w glebie, gdzie tworzy wielkie, rozgałęzione kłącza. Pod ziemią potrafi także wytwarzać drobne kwiaty zdolne do samozapylania i produkcji nasion. Dopiero po 10 latach życia w ukryciu łuskiewnik wyrasta na powierzchnię w postaci biało-różowych pędów, zakończonych różowymi kwiatami. Przez cały czas jego ssawki czerpią z korzeni żywiciela substancje odżywcze, a zapasy pokarmu gromadzone są w łuskach pokrywających kłącza i pędy pasożyta. Jak się okazuje, łuski służą także do wydalania nadmiaru wody.

Walka z kwiatowymi pasożytami jest niezwykle trudna, stąd też często powodują one ogromne straty gospodarcze,

EWA SYMONIDES

Fot. **Marek Ostrowski**





TURCY WIELKANOCNI



Skąd się wzięła tradycja „Turków Wielkanocnych" w Radomyślu i okolicznych wsiach, najstarsi ludzie nie pamiętają. Jedni (ci z Radomyśla) twierdzą, że po zwycięstwie Sobieskiego pod Wiedniem chłopi wrócili do swych domów w pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych. Na pamiątkę szczęśliwego powrotu co roku chodzą ze świątecznymi życzeniami w tureckim przebraniu.

Mieszkańcy Rzeszczy tłumaczą pochodzenie tego zwyczaju inaczej. Podobno po zwycięstwie wiedeńskim sprowadzono jeńców tureckich do sypania wałów przeciwpowodziowych wzdłuż Sanu. Turcy przywykli do sanockiej ziemi, wrośli w nią, zostali. Ale, choć już nie bardzo wiadomo kto się tureckim pochodzeniem może legitymować, wszyscy chętnie raz do roku ożywiają historię. W świątecznym pochodzie maszeruje tureckie wojsko, w tureckich mundurach z szablami i halabardami, które ponoć przodkowie przywieźli spod Wiednia.

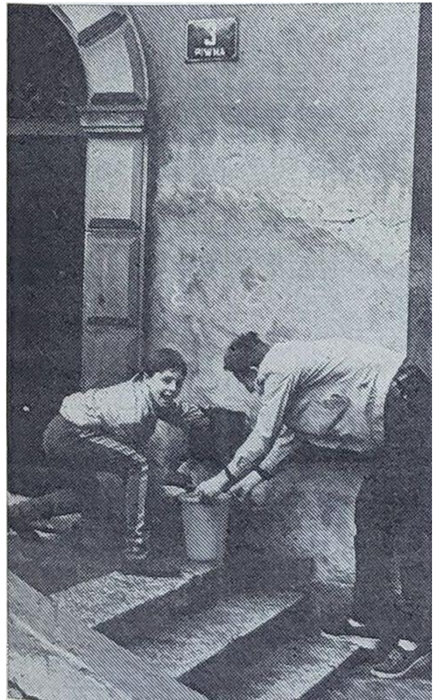
Kto z Was wiedział, że tatarski Lajkonik z Krakowa ma turecką konkurencję nad Sanem?

Tekst i zdjęcia: **ZBIGNIEW BISANZ**

Z punktu widzenia wapniaka

WIELKIE LANIE –NIE PRZELEWKI









I znów odbyło się doroczne polewanie, pryskanie i posikiwanie. Sympatyczne, jeśli w ten sposób bawi się grono bliskich używając gumowych jajek albo aerozolu z bardziej lub mniej wytworną perfumą. Gorzej, gdy rzecz się dzieje na ulicy, woda chlusta z wiadra, temperatura jest powyżej zera wprawdzie, ale niewiele powyżej, dmucha przedwiosenny wietrzyk, a ofiarą zabawy padają przechodnie spieszący z wizytą w strojach wyjściowych, albo - co już najgorsze - osoby skłonne do przeziębień-czy, o zgrozo! świeżo wyleczone z grypy. W tym dniu osoby takie powinny stanowczo siedzieć w domu.

Tak naprawdę to nie wiadomb dokładnie, dlaczego się polewamy. Uczone księgi podają kilka równie nieaktualnych dziś powodów: a to dla zmycia grzechów, a to dla zmycia brudu widocznego gołym okiem (w średniowieczu w poście nie tylko - poszczono, ale i nie myto się), jedno jest pewne - obyczaj jest starszy niż nasza historia. Stary i szacowny. Na imię mu Tradycja.

Są tradycje piękne - jak choinka, są niewinne - jak pączki w tłusty czwartek i są - za przeprószeniem - głupie. Jak lany poniedziałek dostarczający niewybrednych uciech silnym, zdrowym, sprawnym, kiedy uda im się zaskoczyć, mniej sprawnych, pozbawionych refleksu i kondycji. Fe!

Czy należy śmigus-dyngus skasować?

Kto jest za? Kto przeciw? Kto się wstrzymał?

Ja się wstrzymuję i zostaję w domu, pamiętając o tym, że już blisko 6 wieków temu, za króla Jagiełły, usiłowano urzędowo zakazać tego barbarzyńskiego zwyczaju i już wtedy się nie udało.

Fotografowała przemoczona
lecz wesoła
Maryla Zieleniewska
Komentował suchy
lecz oburzony
Wapniak

P.S. A może by tak przywrócić pierwotne znaczenie nazwy „dyngus", wywodzącej się od niemieckiego *dingen* - wykupywać się? W dawnych wiekach ci, którym nie w smak była nagła kąpiel w lodowatej wodzie, mieli prawo wykupić się od tej przyjemności ofiarowując żartownisiom jajka i słodkie placki. Ciekawe dlaczego ów zwyczaj nie przetrwał?

Masy i klasy (2)

CIĄG DALSZY ZE STR. 4

Z głębi sali - szepty, kwękania. - Nie ma nastroju, pieniędzy też nie ma...

Marszałek Sejmu: - Proszę ministra finansów, Izę, niech się wypowie na temat finansów Rzeczypospolitej.

Minister Iza, nie wychodząc z ławki: - Przypominam o konieczności płacenia podatków na Sejm. Nie wiem, na co czekają klasy! Chodzi przecież tylko o złotówkę miesięcznie.

Poseł z klasy czerwonej: - Zanim podatki wpłyną do Banku, niech rząd zaciągnie pożyczkę. Można też zamrozić wkłady w SKO. To jest przecież praktykowane przez niektóre rządy...

Stuknięcie w stół - raz, drugi. – Spokój! —woła marszałek Sejmu.— Proszę ministra gospodarki o zapoznanie posłów ze stanem ładu i porządku na terenie Rzeczypospolitej.

Minister Joanna - z ławki: - Wysoki Sejm sam wie, jak jest. Coraz trudniej u nas o ład. Jest nas dużo, dwa razy więcej niż być powinno. Uczniowie śmiecą, biegają na przerwach. Łatwo o wypadek. Ostrzegam, że posypią się kary.

- Prokurator - z boku: - Prowadzę sprawę przeciw uczniowi, który skakał przez okno...

Prokurator Generalny: Maciej Stefański; lat 14, urodzony w Toruniu, klasa czerwona, ojciec jest kierownikiem młyna, matka pracuje w administracji szpitala.

- Kim jest prokurator?
- Tym; który oskarża.
- A odpowiada ci stanowisko prokuratora?
- Wybrano mnie. Staram się wypełniać nałożone na mnie obowiązki jak najlepiej. Lubię porządek, współpracuję ze Służbą Porządkową.
- Czy w dorosłym życiu też chciałabyś być prokuratorem?
- Nie, ja bym chciał zostać elektronikiem. Interesuję się techniką. Zacząłem juz robić proste układy.
- A gdybyś jako elektronik został powołany na ławnika?
- Podpowiadałbym sędziemu. Za tydzień, niestety, będę oskarżał chłopca...

*

W przyszłym tygodniu sprawę chłopca z czerwonej klasy rozpatrzy Sąd Rzeczypospolitej.

Sąd podlega Sejmowi. Do zadań Sądu należy wyrokowanie w sprawach wykroczeń przeciwko Kodeksowi Ucznia.

Przewód sądowy odbędzie się z udziałem ławników, którymi są uczniowie szkoły.

*

Sędzia Rzeczypospolitej: Katarzyna Jasiołowska, lat 14, urodzona w Toruniu, klasa czerwona, ojciec i matka pracują umysłowo w Zakładach „Elana".

- Lubisz sądzić?
- Wolę oskarżać. Chciałam być prokuratorem, ale powierzono mi obowiązki sędziego. Będę stać na straży prawa.
- Czy prawo zawsze jest słuszne?
- Nie wnikam w to, czy prawo jest słuszne. Pilnuję, by było przestrzegane. Nasze prawo jest słuszne. Uchwalił je nasz Sejm.
- A wasz Sejm nie mógł uchwalić złego prawa?
- Nie; bo to jest nasz Sejm. Posłowie są uczniami, naszymi kolegami. I wiedzą, czego nam trzeba.
- Wyjaśnij treść Art. 3 Konstytucji: *Odważnie i bezinteresownie stajemy w obronie słusznej sprawy*. Co to jest słuszna sprawa?
- To, co jest zgodne z prawem - jest słuszne.
- Czy w przyszłości zostaniesz sędzią, czy prokuratorem?
- Chciałabym raczej pracować w takiej dziedzinie, w której nie miałabym konfliktów z ludźmi.

*

Głosy z głębi sali: - Nie skakał! Nie mógł skakać!

Marszałek Sejmu: - Sąd to rozsądzi. Chłopiec ma adwokata...

*

Adwokat Rzeczypospolitej: Joanna Paesz, lat 14, urodzona wToruniu, klasa czerwona, ojciec lekarz, matka technik.

- Na wokandzie jest sprawa chłopca. Zarzuca mu się, że skakał przez okno. Skakał?
- prokurator ma podobno świadka, który może to potwierdzić Natomiast ja mam trzech świadków, którzy zeznają pod przysięgą, że chłopiec nie skakał. Tak że jestem pewna, że Sąd wyda uniewinniający wyrok.
- Skąd ta pewność, że Sąd będzie sprawiedliwy? Świadkiem jest funcjonariusz Służby Porządkowej! A może Sąd przestraszy się? Może twoi świadkowie wycofają się?
- Wzięłam pod uwagę, że świadkiem jest funkcjonariusz Służby Porządkowej. Zgromadziłam dowody na to, że chłopiec w ogóle nie mógł skakać. Miał coś z nogą.
- Czy warto być adwokatem?
- Chyba nie warto. Bo sprawy łatwe, z którymi do mnie przychodzą, mnie nie interesują. A w trudnych, gardłowych sprawach szuka się kogoś mocnego, a nie adwokata.
- Czy mimo wszystko w przyszłości chciałabyś zostać adwokatem?
- Chcę skończyć liceum z językiem niemieckim, potem germanistykę. Zamierzam podróżować, mieć kontakty z różnymi ludźmi. Chcę rozmawiać, poznawać. Czasami zdaje mi się, że jesteśmy zamknięci w klatce. Chciałabym zobaczyć to, co jest poza klatką.

MICHAŁ MOŃKO
(Dokończenie
w następnym numerze)

Zwycięstwo bez laserowego miecza czyli „Powrót Jedi”



Nadeszła oczekiwana przez Was niecierpliwie okazja do kolejnego spotkania z bohaterami gwiezdnej sagi. Na ekranach króluje przecież jej VI epizod, czyli „Powrót Jedi".

W wielu listach (szczególnie od warszawiaków, którzy mieli okazję najwcześniej oglądać film) zarzucacie „Gwiazdozbiorowi" opieszałość w podjęciu tego tematu. Wyjaśniamy — była ona zamierzona. „Powrót Jedi" nie wymaga przecież specjalnej reklamy i kto „zaliczył" „Gwiezdne wojny" i „Imperium kontratakuje" z pewnością nie odmówi sobie seansu „Powrotu Jedi". Zależało nam by jak najszerszy krąg naszych czytelników zdążył poznać film, chcieliśmy natomiast uniknąć powielania wielokrotnie drukowanych i u nas, i na innych łamach życiorysów odtwórców głównych ról. Tym bardziej, że autorskie żywoty Carrie Fisher, Marka Hammila i Harrisona Forda nie są aż tak bujne, by dostarczyć materiału do wciąż nowych omówień, a ich życie prywatne, na szczęście, również nie komplikuje się, jeśli nie liczyć konsekwencji — i negatywnych, i pozytywnych — ogromnej popularności.

Dziś więc raczej o filmie i to syntetycznie, bo uprawnia nas do tego fakt, że „Powrót Jedi" jest zamknięciem jednego z cykli planowanych przez Lucasa w dziewięciofilmowej epopei. Całość miała w zamyśle twórców obejmować losy aż trzech pokoleń bohaterów żyjących „dawno temu w odległej galaktyce". W ciągu siedmiu lat powstał cykl środkowy — IV, V i VI epizod. Czy dojdzie do realizacji cyklów — wcześniejszego i następnego, tego w stu procentach nie obiecuje nawet George Lucas. A jeśli nie dojdzie... No cóż, już te trzy istniejące filmy zdążyły otworzyć przez ekranowym s-f ogromne perspektywy i chwała za to Lucasowi oraz zatrudnionym przez niego wybitnym specjalistom.

Dziś wydaje się, że na „Gwiezdne wojny" widzowie, i to bez względu na wiek, jakby oczekiwali. Przyczyna tego fenomenalnego sukcesu została przez krytyków i socjologów zbadana i wyjaśniona. Film ten okazał się odtrutką na to, co trudne i przygnębiające w dzisiejszych czasach. Dwuznaczności i cynizmowi przeciwstawił prostotę, radość i dynamizm. Ten dynamizm to nie tylko niewyczerpana energia promieniująca z wszelkich działań bohaterów, ale także nowatorsko szybkie tempo prowadzenia opowieści na ekranie. Choćby - loty międzygwiezdne. Do czasu „Gwiezdnych wojen" przedstawiane były w sposób realistycznie wolny. Tymczasem Lucas wraz ze specjalistą od efektów Johnem Dykstry przygotowując się do sceny kulminacyjnej „Gwiezdnych wojen" zmontowali roboczą sekwencję z fragmentów wojennych filmów lotniczych i na tej podstawie zaprojektowali błyskawicznie toczący się atak na Gwiazdę Śmierci. Ten chwyt nie tylko został wykorzystany w następnych częściach sagi - ale też został w sposób naturalny (wskazują na to liczne inne filmy) przyswojony przez gatunek s-f.

Kolejne novum to wzbogacenie klasycznego wątku walki Dobra ze Złem za pomocą elementu mistycznego — Mocy rycerzy Jedi. Była to konsekwencja wyczucia potrzeb widza przez Lucasa, który zręcznie wykorzystywał fakt powszechnej wśród młodzieży lat sześćdziesiątych fascynacji filozofiami Wschodu. Luke Skywalker - Podniebny Wędrowiec, z sympatycznego, ale pospolitego chłopca z farmy, wciągniętego w kosmiczną wojnę, już w „Imperium kontratakuje" dzięki naukom mistrza Yody zmienia się, wzbogaca, potężnieje do tego stopnia, że... w „Powrocie: Jedi" sceną najistotniejszą już nie jest atak Rebeliantów na odbudowaną Gwiazdę Śmierci, ale duchowy pojedynek Luke'a z Darthem Vaderem przed obliczem Imperatora. Laserowy miecz okazuje się bronią nikłą wobec siły jaką daje pokonanie uczucia nienawiści i chęci odwetu.

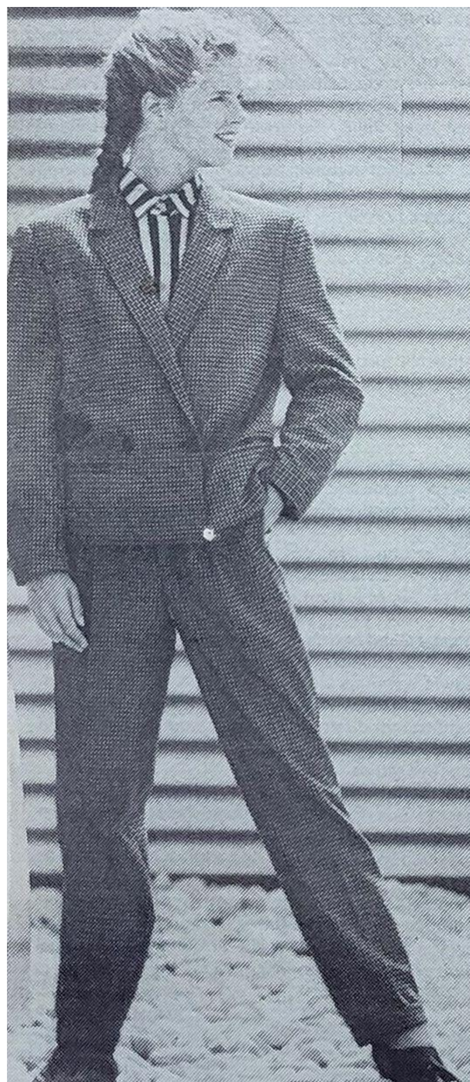
Jak pamiętacie, „Gwiezdne wojny" (1977) reżyserował sam George Lucas; „Imperium kontratakuje" (1980) - Irwln Kershner, a „Powrót Jedi" (1983 r.) - Richard Marquard. Trzem różnym reżyserom udało utrzymać się jedność stylu cyklu, a zarazem zaznaczyć swoje indywidualności. Wszystkie te filmy więc cechuje przede Wszystkim ogromny rozmach technologiczny, (szczególnie w wypadku dwunożnych machin na śnieżnych pustkowiach w „Imperium"). Dodaje im tez barw fantastyczny kosmiczny ogród zoologiczny (najefektowniejszy w „Powrocie Jedi" na dworze Jabby i kiedy oglądamy niedźwiadkopodobnych Ewoków z planety Endor). Łączą też trzy obrazy, które przecież dają się oglądać niezależnie, główni bohaterowie. Na czarnobiałym zdjęciu prezentujemy ich w kostiumach z „Powrotu Jedi". Od lewej stoi sam główny producent — George Lucas, za nim w głębi - Harrison Ford jako Han Solo, Carrie Fisher jako Leia, obok Mark Hammil, czyli Luke, przed nim Peter Mayner w roli kudłatego pilota Chewbacci, obok, reżyser „Powrotu" — Richard Marquand, a w samym centrum Anthony Daniels jako C-3PO i Kenny Baker jako R-2-D-2.

(eb)





GARNITUREK





DOM MODY świata młodych

Garniturek, nazywany także „spodnium", to komplet składający się ze spodni i żakiecika przypominającego troszkę (ale tylko troszkę) męską marynarkę. Takie damskie garniturki były przebojem kilku sezonów kilkanaście lat temu. Potem zniknęły (jak to z przebojami bywa) I z szaf, i ze sklepów, I ze stron żurnali. A teraz - wracają. Zresztą, nic dziwnego. Bo praktycznie wszystko, co w modzie ciuchowej się nowego pojawia, kiedyś juz było. Troszkę inaczej, w innej, powiedziałabym, oprawie ale w gruncie rzeczy to samo.

Tak właśnie ma się rzecz z garniturkami. Nie da się ukryć, znowu są modne. Więc jeśli którejś z Was tak się życie fartownie układa, że w rodzinie jest ktoś dobrze szyjący i ona z tego korzysta, niech pomyśli o garniturku właśnie. Bo zanim się gotowe pojawią, to czasu chyba trochę minie...

Zwróćcie uwagę na spodnie. Są luźne w pupie, dość szerokie w nogawkach, ale zwężające się ku dołowi, na dole są zdecydowanie wąskie. I wykończone mankietem. Bardzo długie, za kostkę. Żakiety natomiast (czyli posługując się nomenklaturą garniturową - marynarki) mogą być różne. Od całkiem króciutkich, sięgających zaledwie odrobinę poniżej talii, do całkiem długich, do pół uda niemal. Zawsze z klapkami.

Do tych garniturków, które w końcu z męskiej mody są ściągnięte, dodatki też nosi się męskie. Bluzki o fasonie koszulowym, często do bluzki zakłada się także krawat, sznurowane półbuty na całkiem płaskim obcasie, czapki z daszkiem, zamiast torebki - męska teczka. Nie jest to więc nic innego jak propozycja kolejnej przebieranki.

RIUSZKA

„Quo vadis?" wydarzeniem roku

KOLEJNA EKRANIZACJA POWIEŚCI SIENKIEWICZA

Telewizyjnym wydarzeniem roku stał się we Włoszech sześcioodcinkowy serial „Quo Vadis?", nakręcony według powieści Henryka Sienkiewicza przez Franco Rossiego, 61-letniego włoskiego reżysera, który w swej karierze ma już dwie podobne realizacje: telewizyjną „Odyseję" (1968 r.) i „Eneidę" (1971 r.). Krytycy włoscy piszą o nowej ekranizacji „Quo vadis?"- z wielkim uznaniem, podkreślając, że w niczym nie przypomina głośnego superwidowiska w hollywoodzkim stylu, nakręconego w 1951 r. nad Tybrem przez amerykańskiego reżysera Marvyna le Roya.

„Quo vadis?" Rossiego jest piątą w dziejach filmu ekranizacją powieści Sienkiewicza. Pierwsza powstała również we Włoszech, jeszcze w czasach kina niemego, a jej autorami byli w 1924 r. Jacoby i Gabriel D'Annunzio.

Telewizyjny serial „Quo vadis? został zrealizowany w ciekawej międzynarodowej obsadzie. Nerona gra austriacki aktor Klaus Maria Brandauer. Postać apostoła Piotra kreuje szwedzki aktor Max von Sydow, a Petroniusza – Steve Forrest. Jako Marek Winicjusz wystąpił Francesco Ouinn, syn Anthony Ouinna; Ligią jest Maria Therese Relin, córka Marii Schell. Do roli Ursusa reżyser zaangażował potężnie zbudowanego jugosłowiańskiego olimpijczyka i judokę, Radomira Kovacevića.

W przeciwieństwie do marmurowej, pełnej przepychu i rozmachu scenerii Rzymu z filmu Mervyna le Roya, serial Rossiego ukazuje Rzym z czasów Nerona w sposób realistyczny, jako biedne, przeludnione miasto, w którym pałace i .wille patrycjuszy kontrastują z drewnianą zabudową milionowej już wówczas stolicy imperium.

UWAGA MIŁOŚNICY MORZA!



Za audycją „Latającego Holendra", którą obejrzeliście na srebrnych ekranach w dniu 5 kwietnia, powtarzamy ZADANIE MIESIĄCA:

Wśród flotylli istniejących i wycofanych.z eksploatacji polskich statków szkolnych nazwy trzech - wywodzą się od nazwisk ludzi zasłużonych dla naszego szkolnictwa morskiego. Które to statki?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać do końca kwietnia na kartkach pocztowych pod adresem: Klub Zdobywców Oceanów „Latający Holender", UI. Sobótki 15. 80-247 Gdańsk, ul. Sobótki 15.

(wm)

PRZEPIS PRZEZ TELEFON

W restauracji „Newa" w Leningradzie (ZSRR) zorganizowano telefoniczną informację na tematy kulinarne. Informacja cieszy się olbrzymią popularnością. Przed wszystkimi świętami telefon dosłownie urywa się. Najczęściej dzwonią kobiety; jeśli mężczyzna - to z reguły pyta o danie mięsne. Zainteresowania kobiet są szersze: przekąski, sałatki, napoje, pierwsze i drugie dania obiadowe, desery.

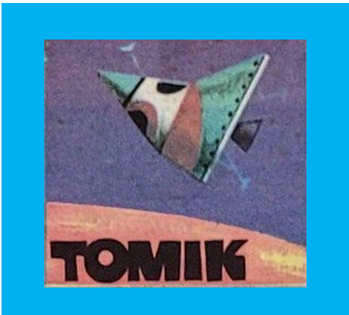
PIECHOTĄ WOKOŁ MURU...

Osiem miesięcy i osiem dni stracił 39-letni Liu Tsi-hun, aby przejść pieszo trasę 8371 kilometrów wzdłuż Wielkiego Muru Chińskiego - od jego zachodniego końca po wybrzeże Zatoki Liaoduńskiej.

Liu Tsi-hun rozpoczął swój marsz 5 lipca 1984 roku, a ukończył go 13 lutego 1985 r.

12 kwietnia przed południem

„Przed nami stał człowiek ubrany w czerwony Kombinezon i biały lotniczy hełm...”



24 lata temu, rankiem 12 kwietnia 1961 roku „świat wstrzymał oddech" - jak donosiły wówczas gazety i wszystkie rozgłośnie radiowe i telewizyjne świata. Oto do lotu w kosmos wystartował pierwszy człowiek, obywatel Związku Radzieckiego, major Jurij Gagarin. Było to zaskoczenie nawet dla specjalistów. Przedtem dopiero trzykrotnie udało się sprowadzić z kosmosu na Ziemię bezzałogowe sputniki. Ponadto minęło zaledwie trzy i pół roku od historycznego wystrzelenia (4. X. 1957) pierwszego sputnika, otwierającego nową erę podboju nieznanej przestrzeni otaczającej naszą planetę. A jednak start Gagarina stał się faktem.

Przypomnijmy ten historyczny lot. Start odbył się rankiem z kosmodromu Bajkonur położonego na rozległych stepach Kazachstanu. Kosmonauta ubrany był w skafander, który miał go chronić przed próżnią, jaka mogłaby powstać wewnątrz statku „Wostok" w przypadku ewentualnego przebicia ścianki pojazdu przez meteoryt. Przypięty pasami do fotela zajmował w nim pozycję poprzeczną w stosunku do kierunku startu i lotu. Zmniejszało to panujące duże przeciążenie w czasie nabierania pierwszej prędkości kosmicznej, czyli prawie 8 km/sek.

W kilka minut po starcie (nastąpił on dokładnie 7 minut po dziewiątej czasu moskiewskiego) „Wostok 1" wszedł na orbitę okołoziemską, której najniższy punkt znajdował się 175 km od Ziemi, a najwyższy 302 km. Lot orbitalny był najprzyjemniejszą częścią całej wyprawy. I nie tylko dlatego, że kosmonauta znajdował się w stanie nieważkości, ale mógł jako pierwszy człowiek oglądać Ziemię z kosmosu. Jej przepiękną aureolę, łańcuchy górskie, rzeki, morza. Mógł też podziwiać niebo z gwiazdami, jakie Jest niedostępne nam pozostającym na Ziemi. Oglądał zachód i wschód słońca, gdy statek wchodził w cień Ziemi, a następnie z niego wychodził. Cały lot Gagarina trwał 108 minut. Najtrudniejszy był ostatni etap tej niezwykłej wyprawy, gdy włączone zostały silniki hamujące i statek zszedł z orbity na trajektorię lądowania. W tym czasie od zespołu napędowego oddzieliła się kabina z kosmonautą. Znowu zaczęły działać siły przeciążeniowe. W miarę jak kabina wchodziła w coraz gęstsze warstwy atmosfery jej ścianki na skutek tarcia rozgrzały się do czerwoności. W końcowej fazie rozwinął się spadochron, który zwolnił prędkość opadania kabiny. Na wysokości około 7 km Gagarin, zwyczajem pilotów, katapultował się w skafandrze wraz ze swym fotelem. Tak więc ostatnie minuty kosmonauta opadał na spadochronie oddzielnie, a kabina oddzielnie. Lądowanie miało miejsce w pobliżu wsi Smiełowka w rejonie Saratowa.

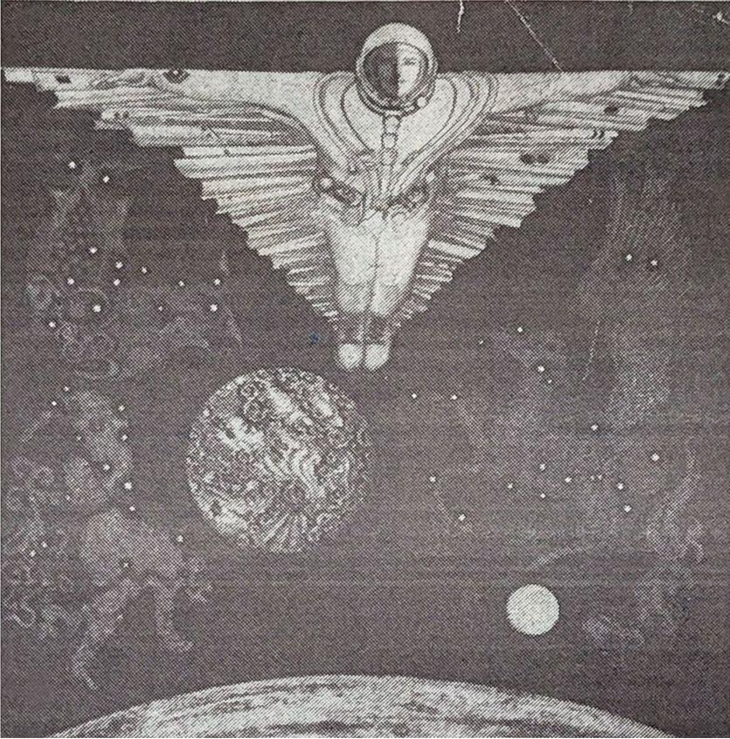
Traktorzysta Iwan Rudenko był jednym z sześciu ludzi, którzy pierwsi witali przybysza z kosmosu. Oto jak opisuje Rudenko chwile przed lądowaniem i samo powitanie Gagarina: „Kosmonauta wylądował na spadochronie opodal nas. Kierował spadochronem podciągając linki to z jednej, to z drugiej strony. Po wylądowaniu pobiegliśmy na spotkanie. Przed nami stał człowiek ubrany w czerwony kombinezon i biały lotniczy hełm. Podszedł do nas i wtedy usłyszeliśmy słowa, które zapamiętamy na całe życie.

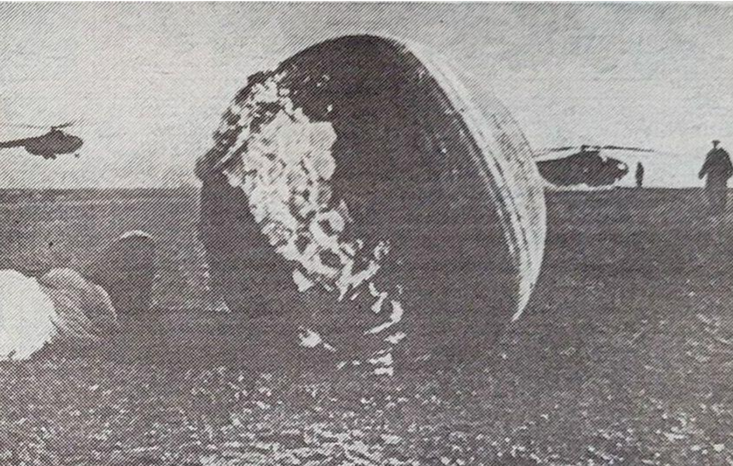
- Dzień dobry, towarzysze! Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem obywatelem Związku Radzieckiego, pierwszym radzieckim kosmonautą, Jurijem Aleksiejewiczem Gagarinem."

Nie przypuszczali wówczas, że słyszą imię, które wkrótce znać będzie cały świat, Imię Kolumba Kosmosu.

Jurija Gagarina nie ma już wśród żyjących. 27 marca 1967 roku zginął w katastrofie lotniczej, ale jego nazwisko, jego pogodna, uśmiechnięta twarz, postać pełna skromności, pozostanie zawsze na kartach historii astronautyki, na kartach historii ludzkości. Dzień jego lotu, 12 kwietnia, obchodzimy co roku jako święto kosmonautyki.

PREZES





▲ *Tak wyglądała kabina, w której J. Gagarin powrócił z kosmosu. Widać wyraźne ślady spalenia zewnętrznej powłoki ochronnej*

◀ *„Ikar XX wieku” — tak podpisał swoją pracę radziecki artysta Wiktor Karpow. Gagarinowi poświęcone są liczne wiersze, wystawiono Mu również okazałe pomniki*

KĄCIK KORESPONDENTÓW

Mam 15 lat i uczęszczam do I kl. Liceum Ogólnokształcącego w Chełmnie. W naszej szkole działa kółko astronomiczne, na które również uczęszczam. Wraz z nowym rokiem założyłem z kolegą korespondencyjny klub miłośników astronomii i astronautyki. Klub ten udzielać może informacji z różnych zakresów np.: anatomii komet, planet, niezidentyfikowanych obiektów latających, lotów księżycowych itp. Na pierwszych trzech korespondentów czekają cenne nagrody: kalendarze astronomiczne na rok 1985. Wszystkie listy proszę kierować do prezesa klubu czyli do mnie: **Piotr Guzek**, ul. .22 Stycznia 6/1, 86-200 Chełmno.

Aldona Carbogno (15 l.), ul. Derkacza 6/33, 44-114 Gliwice pisze: „Dotychczas astronomią,-probiemem budowy i historii wszechświata oraz możliwością istnienia pozaziemskich cywilizacji interesowałam się, można rzec, dorywczo. Chciałabym jednak skierować swe zainteresowania już na „mocne" tory, tzri. zacząć gromadzić wiadomości na ww. tematy w sposób regularny,, stały czy jak to nazwać. Myślę, że bardzo pomogłaby mi w tym korespondencja z czytelnikami TOMIKA. Niestety, o ile rozmawiać, snuć przypuszczenia i omawiać zagadki potrafię, to konkretnej wiedzy nie mam. Dlatego ktoś kto odważyłby się ze mną korespondować musiałby mieć dużą cierpliwość i chęć odpowiadania na pytania, którymi zasypywałabym go. Oczywiście, staram się dużo czytać i rozmawiać o astronomii".

Kto więc zeche pomóc Aldonie w rozwijaniu jej zainteresowań?

Uwaga, pisząc do kącika korespondentów TOMIKA podaj dokładny swój adres, wiek oraz krótko sformułowane zainteresowania.

- A to, że może to jest jak w zegarku. Jakaś sprężynka mówi sobie, że nie jest sprężynką i przestaje nią być, i już nie masz zegarka, a...

- A co? - spytali równocześnie.

- Nie wiem co! - wrzasnęłam nagle. - Dajcie mi spokój. Ja nie jestem sprężynką. Po takiej sprężynce zostaje dziura, puste miejsce.

Nie miałam pojęcia dlaczego tak mówię. Wiedziałam: bo pozostawili mnie na boku. Nienawidziłam ojca, który prostodusznie wysłał nas na bezsensowny spacer zamiast odprawić u siebie w domu nudne, krępujące pożegnanie.

- Po mnie nie zostanie dziura - wtrącił Jaś, zrozumiał mnie. - Ja wyjadę i po mnie nie zostanie dziura. Ja tu nie jestem potrzebny. - Twarz miał złą i twardą. Spojrzał na mnie. - Mogę wyjechać. Ja nie mogę postanowić, że nie jestem tym, kim jestem. I nie pocieszaj mnie - krzyknął na Chłopaka. - Ja nie jestem sierotą i nie mogę robić, co mi się podoba. Mam ojca i matkę i muszę do nich wracać. To na pewno nie jest miejsce dla mnie. A ty niepotrzebnie przyprowadziłaś mnie do domu Starszej Pani - wypalił prosto w moje oczy. - Nie prosiłem cię. O nic. Teraz odjadę, bo to nie jest miejsce dla mnie, to osada. To miejsce - przez chwilę się zastanawiał - dla Pięknej. Ona tu przybędzie. Zobaczycie. Jeszcze zobaczysz - złośliwie zajrzał w moje oczy i krótko, sucho się roześmiał, a potem odwrócił się i zaczął uciekać.

Po chwili Chłopak pogonił za nim.

ROZDZIAŁ CZWARTY: CZARODZIEJKA W OGRODZIE

Proroczy sen

Chłopaka od Starszej Pani trwał minutę albo dwie i zdarzył się parę godzin po przybyciu syna Starszej Pani i jego córki. Przyjechali w dwa dni po powrocie Starszej Pani ze szpitala, na jej telegraficzne wezwanie.

Chłopak śnił na obrośniętej winem werandzie, w mroku gęstych liści, kiedy drzemał niespokojnie, zmęczony czekaniem i podejrzeniami.

Śnił mu się, jak mi znacznie później powiedział, koniec świata albo jego początek. Tego nie potrafił określić, ale na pewno początek czy koniec, to było obojętne, gdyż przypuszczał, że początki i końce są równie trudne: oczywiście, jeśli chodzi o światy.

Zobaczył półpustynną, szarą równinę i niejasne cienie poruszające się na horyzoncie. Miał się przez tę równinę przedrzeć. We śnie pomyślał, że równina może się okazać wodą albo zgęszczonym światłem. Czymkolwiek. Chodziło o to, że wszystko, co mógł dostrzec, było początkiem lub końcem. Chłopak wiedział, że się posuwa przed siebie, ale nie miał pojęcia, dokąd zmierza, i jeszcze pamiętał, że wołały nie wyruszać z miejsca, z którego wyruszył. Choć tego miejsca nie mógł już sobie przypomnieć. Szedł, był spragniony, a wtedy mały, bagienny płomyk zaczął go karmić winogronami.

To go obudziło.

Siedział na drewnianej, obłupanej z brązowej farby ławce, biegnącej wzdłuż ścian werandy, opierał się o słup, podtrzymujący dziurawy szkolny niegdyś dach, wtulał się w obfitą zieleń, pachnącą jeszcze wiosennymi sokami, ale sokami już leniwymi, jakby czerwcowe upały zmieniły je w powolny, gęsty syrop.

W pokoju przylegającym do werandy toczyła się rozmowa Starszej Pani z synem, i może ona go obudziła, a może dziewczynka, która cichutko, z przejęciem wspinając się na palce; wtykała mu do ust niedojrzałe jeszcze porzeczki.

Dziewczynka była złota i zielonkawa, a Chłopak chyba jeszcze spał, bo z wysiłkiem starał się ją sobie przypomnieć — a to byłam ja.

- Dość — powiedział. - Ciebie nie ma.

Cierpki smak owoców spływający po języku zmieniał się w dreszcz przeszywający szczęki.

Wypluł porzeczki i wstał. Cofnęłam się z respektem.

- Wcale nie jesteś wysoki - powiedziałam, na wszelki wypadek. - Nie boję się ciebie w ogóle. Ja chodzę do szkoły, a ty nie. I lepiej usiądź.

W wyciągniętej ręce trzymałam jeszcze porzeczki i podsuwałam mu je.

Nie wiedziałam, co zrobi, i nie byłam pewna, czy pamięta o obietnicy, jaką mi niedawno złożył. To było po wyjeździe Jasia, gdy autobus odjechał, a ja zaczęłam płakać że złości i jednocześnie z żalu, bo pożegnanie się nie udało, i jeszcze dlatego, że Jaś coś mi zabrał. Chłopaka, a może kawałek mnie samej, i to dobry, porządny kawałek. Chłopak powiedział wtedy, że Jaś jest jakby jego bratem i powinnam o tym wiedzieć, ąle że Ja jestem jakby jego siostrą. Pocieszał mnie, a potem przedstawił mnie Starszej Pani, gdy wróciła.

Cdn.

19 SCENARIUSZ I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

ZŁOTO ALASKI

PRZYGODY JONKI, JONKA i KLEKSA '85

HAU
MIĘSO!
ZOSTAŃ, TO MOJE!
MIĘSO!
HAU!
HAU!
HAU!
WRR
WRR

NARESZCIE RUSZAJĄ!
HAU
POŚPIESZCIE SIĘ! ZA NIMI!
HEJ! NIECH SANIE JADĄCE NA CZELE PRZYŚPIESZĄ!
PRĘDZEJ!
DO LICHA! UCIEKNĄ!
HAU HAU
HAU HAU

NIE PCHAĆ SIĘ! ZA MIASTEM OKAŻE SIĘ, CZYJE PSY SĄ NAJLEPSZE...

KTO WYRZUCIŁ MIĘSO?
ROZDZIELCIE PSY!

NATYCHMIAST ZRÓBCIE PORZĄDEK, BO NIE DOGONIMY ICH PRZED NOCĄ!

CO SIĘ STAŁO?
CO ZNOWU?
DLACZEGO PSY STANĘŁY?
OSZALEĆ MOŻNA! CO TAM SIĘ DZIEJE?
STAŁO SIĘ! MAŁY PINK PONSTRZYMA, JAK DŁUGO SIĘ DA, TO STADO WŚCIEKŁYCH PSÓW!

KLEKSIE, DOKĄD PĘDZIMY?
MAM MAPĘ McLUSKY'EGO! WIEM, GDZIE JEST ZŁOTO!
SZKODA, ŻE PINK NIE ZOSTAŁ DO KOŃCA PRZYGODY...

STÓJ! TA MAPA TO KAWAŁ! MUSZĘ CI WSZYSTKO WYJAŚNIĆ! STAŃ! ZATRZYMAJ SIĘ!
NIC NIE SŁYSZĘ! PÓŹNIEJ POGADAMY!

POTEM WRACAM DO DOMU. TO NIE JEST MIEJSCE DLA PORZĄDNEGO SKUNKSA...
...ZACZEKAM, AŻ ZACZNĄ STRZELAĆ!



ES PAWEL '85

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 43 (3973)
Wychodzi: wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046 PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.) Teresa Maciszewska, Jan Orgelbrand, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynnyw godz. 11-15).
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch'' Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i teminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa – Książka – Ruch” oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Inna Bójska
Opracowanie techniczne: Barbara Zając
Korekta: Barbara Wasilewska
DSP Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 1175/G. N-27
Nakład 500 000 egz.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

PAN MĄDRALA wygrał grube pieniądze w totolotka i postanowił kupić domek jednorodzinny poza miastem. Dotychczasowy właściciel zachwala domek i okolicę, jak tylko potrafi.

- Jest tylko pewna drobna niedogodność - mówi wreszcie. - Tuż za ścianą sypialni jest płot, a tuż za nim tor kolei elektrycznej. Przez pierwsze dwa-trzy miesiące jest to nie do wytrzymania, ale potem można spokojnie spać...

- Och, głupstwo! - wykrzykuje nie zrażony Mądrala. - Przez te dwa-trzy miesiące możemy spać u znajomych!

LECH BORSKI

Ślady raju

26

I coś takiego działo się z Jasiem. Zmieniał się. Znów w jego twarzy zaczynała występować twardość, którą kiedyś zauważyłam: gdy trzymał nóż. Nie był bezbronny. To nie on chodził nocą do Chłopaka, by słuchać o dzieciach, i nie on trząsł się na widok swojego ojca. On do ojca wracał.

Nie wiem, co go tak zmieniło. Pożegnanie czy to miejsce. Młyn nie młyn; elektrownia nie elektrownia, droga, która powtarza samą siebie, ale inaczej...

Przystanęłam i słuchałam. Łoskot czy huk nabrzmiewał i opadał, i poczułam, że we mnie też coś nabrzmiewa i opada i znienacka, nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni ogarnęło mnie przeczucie, że na pewno coś się stanie. Coś ważnego. Ale nie wiedziałam co. Zadygotałam.

- Było tak? - spytał Chłopak. - Wywlokłem go?

- Nie wiem. Ja tego nie widziałem.

- Ona widziała - oświadczył niedbale Chłopak i wskazał na mnie. Wziąłem go za kołnierz i wyprowadziłem. Mam świadków. A potem mogłem już robić wiele innych rzeczy.

Noskiem buta potoczył kamień do rowu.

Chłopak powiedział z zawstydzeniem:

- Trzeba w siebie wierzyć. Nie ma takich rzeczy jak bezsiła. Nie ma niemocy. Trzeba wierzyć.

Jaś przyspieszył kroku, jakby chciał uniknąć jego spojrzeń. Odezwał się głosem piskliwym i obcym:

- Ale ja muszę jechać. Ja nie mogę wierzyć... A ty uważaj. Bo on to zauważy. Pan Pohoży. I twoja Starsza Pani też. Że ty wierzysz w to, w co wierzysz. I oni ci nie pozwolą.

- Będę to robił po troszeczku - zapewnił.Chłopak. - Sobie to mogę powiedzieć. I wam. Nikomu więcej na razie. Już nie jestem żadną sierotą. I żadną siła nie zmusi mnie do bezradności.

- Po co mi to mówisz?- spytał Jaś.

- Żebyś wiedział. Nie będę sierotą. Nikt nie musi nią być. Znoszę sieroctwo.

Zrozumiałam, że oni znów porozumiewają się nade mną. Ledwie rozumiałam o czym mówią, i znalazłam się z boku i musiałam się wtrącić:

- Jeśli tak zrobisz, to wszystko się zmieni. Nie wiadomo jak - gwałtownie zastąpiłam Chłopakowi drogę.

- Dlaczego? - zdumiał się.

- Powiem ci dlaczego. Powiem. To trzeba powiedzieć.

Mruczałam niezrozumiale, by zyskać na czasie. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Bałam się o Chłopaka. I jego też.

Kiedy jest jakaś sierota - zaczęłam starannie - to może ona jest potrzebna. Do czegoś służy. I jak ona sobie powie, że już nie jest sierotą, to może nie jest, ale wtedy wszystko inne traci zaczepienie. Bo ta sierota, która przestała być sierotą, już nie służy temu, czemu miała służyć. Czegoś zaczyna brakować w świecie. I wszystko się zmienia.

Obaj przyglądali mi się z niedowierzaniem. Bredziłam. Ale także chyba po raz pierwszy broniłam swojego ojca, którego żaden Chłopak nie miał prawa wywlekać z domu Starszej Pani.

- No - przytaknęłam sobie energicznie.

- No i co? - spytał Chłopak.

Dokończenie na str. 7